

ZIELONE

Nr 1/2026 (41)
ISSN 2657-9030
www.zielonewiadomosci.pl

WIADOMOSCI

• e k o l o g i a • s p o ł e c z e ń s t w o • d e m o k r a c j a •



Fot. Justyna Zwolińska

WIECZNA DYSKUSJA, NIEKOŃCZĄCA SIĘ REFORMA



dr Justyna
Zwolińska

Który to już raz w ostatnich 35 latach? Która to już kolejna reforma Wspólnej Polityki Rolnej (WPR) mająca chronić rolników i odpowiadać na potrzeby społeczne? Od lat 90-tych nieprzerwanie WPR poddawana jest reformom, polegającym przede wszystkim na zmianie kierunku wsparcia finansowego.

Na największe z nich składa się zestaw trzech reform trzech komisarzy ds. rolnictwa – MacSharrego, Fishlera i Ciolosa – sumarycznie prowadzących do:

- „zminimalizowania wsparcia na poziomie rynku”, gdyż to rozwiązanie nie przynosiło oczekiwanych rezultatów, a raczej problemy z nadprodukcją w unijnym rolnictwie. Wsparcie rynkowe zostało głównie zastąpione przez płatności bezpośrednie, tj. płatności do hektara ziemi rolnej, jako wzmocnienie dochodowości gospodarstw rolnych.
- uzależnienia płatności WPR od przestrzegania norm ochrony środowiska, dobrostanu zwierząt, bezpieczeństwa żywności.
- skierowania środków WPR na rozwój obszarów wiejskich, w celu rozwiązywania strukturalnych problemów społecznych w rolnictwie.

Czy ten system wsparcia przyniósł zakładany rezultat w postaci wzmocnienia gospodarstw i pozycji rolników w łańcuchu wartości? Dane o obecnym stanie unijnego rolnictwa mówią same za siebie. Średni dochód rolników jest nadal około 40% niższy w porównaniu z dochodami pozarolniczymi. Pomiedzy 2005 a 2025 rokiem liczba gospodarstw rolnych spadła w UE o 37%. Tylko do 2016 r. ich liczba zmniejszyła się o 2 miliony (to jest o ¼) – w 85% były to gospodarstwa o powierzchni poniżej 5 ha.

W tym samym czasie doszło do zwiększenia koncentracji i specjalizacji produkcji rolnej (oddzielenie produkcji roślinnej od zwierzęcej).

Jest to związane z tym, że średnio 80% środków WPR trafiało do 20% gospodarstw. Skoro płatność jest wyliczana od liczby posiadanych hektarów, to najczęściej środków trafi do tych, którzy mają najwięcej ziemi rolnej. Jednocześnie, ponad 80% środków WPR skierowane jest na wsparcie produkcji żywności pochodzenia zwierzęcego, charakteryzującej się wysoką emisyjnością. To z kolei wynik powiązania płatności ze wsparciem dla określonych sektorów produkcji rolnej.

Widać więc wyraźnie, że cel WPR, by wspierać zrównoważony rozwój obszarów wiejskich, w tym zachowując ich żywotność poprzez ochronę małych gospodarstw rolnych, pozostaje na papierze. Wyludnianie wsi nie zmniejszyło się od 60 lat, za to postępuje coraz większe starzenie się rolników. Młodzi rolnicy (poniżej 35 roku życia) stanowili zaledwie 7,3% kierowników gospodarstw rolnych w 2005 roku i 6,5% w 2020 r. Tylko 29% gospodarstw rolnych w UE jest zarządzanych przez kobiety. Tylko 4,2% z nich ma mniej niż 35 lat, a 42% jest w wieku powyżej 65 lat. Unia Europejska próbowała zmienić ukierunkowanie finansowania WPR, wprowadzając capping i degressywność – czyli uzależnienia przyznawania płatności od wielkości powierzchni ziemi rolnej. Zgodnie z tym płatności nie przysługują lub zostają zmniejszone. Pojawiło się także dodatkowe wsparcie dla małych gospodarstw rolnych. Jednak tylko w niewielkim stopniu przyczynia się to do zahamowania negatywnego trendu. Zławsza, że o pokoleniowej kontynuacji działalności rolniczej decyduje także krajowa polityka rolna – w tym dostęp do ziemi rolnej oraz tworzenie rynków zbytu i przetwórstwa dla dostaw z gospodarstw rolnych, które nie mogą konkurować skalą. Krótko mówiąc od krajowych strategii wspierania rozwoju lokalnej produkcji żywności, zwłaszcza takiej która dostarcza wysokojakościową żywność, np. ekologiczną. Już tylko na przykładzie rolnictwa ekologicznego można zaobserwować jak istotne jest podejście państwa członkowskiego, niezależnie od WPR. W niektórych krajach UE, jak Austria, Niemcy, Dania, Francja, Włochy, Czechy rozwój tego sektora jest znacznie większy niż w Polsce. Pomimo tego, że polska produkcja rolna należy do największych w UE, a strukturę agrarną

mamy podobną do Włoch. Jednak postawiliśmy na rozwijanie intensywnego, uprzemysłowionego rolnictwa (głównie produkcji zwierzęcej), bez oglądania się na koszty środowiskowe, klimatyczne i społeczne.

A to wprost prowadzi do możliwości realizacji celów WPR dotyczących tej ochrony – ograniczenia szkodliwego wpływu rolnictwa oraz dostarczania przez ten sektor które odnoszą się do ograniczania szkodliwego wpływu rolnictwa na klimat, środowisko oraz dostarczania przez ten sektor dóbr publicznych ważnych dla zdrowia, jakości życia i jakości żywności. Mamy tu kolejny pakiet reform, który miał być zgodny z założeniami Europejskiego Zielonego Ładu, w szczególności Strategii „Od pola do stołu”.

Powody ich wprowadzania wydawały się oczywiste. Jeżeli pogłębiać się będzie degradacja zasobów naturalnych i kryzys klimatyczny, to zagrożona zostanie wydajność i stabilność produkcji rolnej. Według FAO, emisje gazów cieplarnianych z systemów rolno-spożywczych stanowiły 23% całkowitych emisji UE w 1990 r., obecnie stanowią one 31%. Od 2005 r. tempo redukcji pozostaje w stagnacji. Jak przewiduje Europejska Agencja Środowiska – także na podstawie oceny obecnej polityki krajów UE – trend ten utrzyma się do 2040 r., przy spadku emisji jedynie o 1,5%. Ponadto erozja gleb jest około dwa razy większa niż proces jej tworzenia na terenach rolniczych UE. W ciągu ostatnich 10 lat wzrosło zużycie nawozów sztucznych (+6,9% w przypadku azotu; +21,9% w przypadku fosforu). Coraz większym wyzwaniem staje się także dostęp rolnictwa do zasobów wodnych, a ocieplenie klimatu przynosi nowe zagrożenia w postaci pojawienia się nowych chorób i szkodników w produkcji rolnej.

W związku z tym zdecydowano, by wzmocnić uzależnienie płatności obszarowych od określonych praktyk rolniczych chroniących środowisko i klimat, wprowadzono także płatności dobrowolne, tj. ekoschematy.

Ta reforma WPR nie spotkała się jednak ani z akceptacją państw członkowskich ani samych rolników. Mamy więc, w niecałe dwa lata od jej wprowadzenia, kolejną

nową reformę WPR, znaną pod hasłem uproszczeń unijnej polityki rolnej. Na poziomie UE, na podstawie Dialogu Strategicznego, Wizji dla rolnictwa i żywności oraz pakietów uproszczeniowych (Omni-bus) proponuje się m.in. deregulację norm ochrony środowiska i klimatu w rolnictwie. Ta reforma idzie pod sztandarem zwiększania konkurencyjności i bezpieczeństwa UE. Jak bez odpowiedniej ochrony kluczowych zasobów (gleba, woda, różnorodność biologiczna) i mitygacji klimatycznej chcemy pozostać konkurencyjni i bezpieczni – nie wiadomo.

W tej karuzeli reform łatwo się zgubić, a przecież uproszczenia mają być odpowiedzią na problem nadmiernego obciążenia rolników biurokracją. Jak w 2025 r. wyliczyła Komisja Europejska, rolnicy nad papierami spędzają średnio tydzień w ciągu roku, aczkolwiek ten czas może się zmieniać w zależności od wielkości gospodarstwa. Nie chodzi jednak tylko o sam czas, a o szerzej rozumianą jakość obsługi beneficjentów WPR i kontrolowania ich gospodarstw. Jest to w ogromnej mierze problem systemów krajowych. Być może zatem jest szansa, że korzystając z unijnej reformy uproszczeń, polskie instytucje skupią się na przeglądzie krajowych przepisów i procedur, które utrudniają polskim rolnikom prowadzenie działalności.

Jeżeli pogłębiać się będzie degradacja zasobów naturalnych i kryzys klimatyczny, to zagrożona zostanie wydajność i stabilność produkcji rolnej.

Może warto jest także przemyśleć nie dwóch innych kierunków postępującej reformy WPR. Jednym z nich jest adaptacja do zmian klimatycznych, Kierunek z pewnością potrzebny, ale...wymagający nakładów na innowacyjność technologiczną, biotechnologiczną, pomiarową. Oznacza to kolejne uzależnienie rolnictwa od środków zewnętrznych, a niektóre z rozwiązań – na przykład nowe techniki genomowe – budzą wiele wątpliwości. Ponadto, gdzie dokładnie

leżą granice możliwości adaptacyjnej? Jeżeli nie zmieni się sama produkcja rolna na korzystającą głównie z rozwiązań opartych na przyrodzie – z pewnością tańszych i o powszechnej dostępności – to szybko może się okazać, że żadna adaptacja nie pomoże w przypadku długotrwałej suszy i innych ekstremalnych zjawisk pogodowych. Będzie rość tylko publiczny wydatek na ochronę rolnictwa przed sytuacjami kryzysowymi. Już dziś UE planuje zwiększenie kwot WPR tylko na takie kryzysy.

Drugi kierunek to właśnie konkurencyjność. Można wprowadzać wiele instrumentów, ale bez uwolnienia rolnictwa UE od dyktatu polityki handlowej? Zwłaszcza takiej jak umowa Mercosur, która tylko wzmacnia wymianę – mówiąc w uproszczeniu – pomiędzy technologicznym know-how UE a zależnością od zaplecza paszowego państw Ameryki Południowej.

Każda reforma WPR wynika przecież ze zmieniających się okoliczności. Jednak wybiórcze podejście do nich sprawia, że zachodzące zmiany tylko częściowo rozwiązują problemy, a w wielu przypadkach w ogóle nie działają. A działać nie mogą, gdyż nie są systemowe. Gdyby były systemowe, to w pierwszej kolejności zmniejszyłyby konkurencyjne ciśnienie na rolnictwo pod hegemonią globalnych łańcuchów dostaw. Tym samym dałyby rolnikom prawdziwą szansę na spokojne dostosowanie do wymogów prowadzenia produkcji zgodnie z jego społeczną rolą, tak ważną dla nas wszystkich.

.....
Justyna Zwolińska – prawniczka, wykładowczyni i publicystka specjalizująca się w zagadnieniach związanych z polityką jakości i ochroną środowiska w rolnictwie, polityką żywnościową, Wspólną Polityką Rolną oraz dobrostanem zwierząt gospodarskich. Wieloletnia współpracowniczka organizacji pozarządowych zajmujących się rolnictwem, ochroną środowiska i zwierząt. Od ponad 7 lat koordynatorka ds. rzecznictwa Koalicji Żywa Ziemia. W 2024 r. uznana przez Forbes Polska za jedną z liderów działań na rzecz ochrony klimatu i środowiska.





dr. hab.
Mateusz
Grygoruk

Rozmowa z dr. hab. Mateuszem Grygorukiem, prof. SGGW, Centrum Badań Klimatu SGGW

Susza nie jest zjawiskiem tak spektakularnym jak powódź, ale nie mniej groźnym. W pierwszej kolejności dla rolników?

Zmiana klimatu prowadzi do coraz częstszego występowania ekstremalnych zjawisk meteorologiczno-hydrologicznych, takich jak powódzie i susze. Dawniej rzadko spotykane stają się nową normą. Ludzie bardziej boją się powodzi niż suszy, bo jest gwałtowna i spektakularna, a na razie mamy wodę w kranach. Otrzeźwienie nastąpi dopiero wtedy, gdy zdamy sobie sprawę, że może zabraknąć wody w rzece. Do suszy przez ostatnie kilka lat zdążyliśmy się przyzwyczaić. Ona postępuje małymi krokami. Taką suszę, jak jest na przykład teraz, zimowo-wiosenną, łatwo przegapić. Okres wegetacyjny jeszcze nie ruszył, nie ma potrzeby nawadniania pól, a w krajo-brazie gdzieś widać resztki wody. Zdajemy sobie jednak sprawę, że obecna susza będzie rzutowała na cały rok. Gdybyśmy zsumowali kilkanaście ostatnich susz, to okazałoby się, że choć każda się kiedyś kończyła, to jednocześnie zabierała nam trochę zasobów wodnych, tych najtrudniej odnawialnych, pochodzących głównie z wód podziemnych. Epizodyczne powodzie, chociażby tak duże jak ta we wrześniu 2024 roku, następujące w wyniku długotrwałych i ekstremalnie intensywnych opadów, szybko spływają i nie uzupełniają zasobów wód podziemnych. Choćby dlatego dziś mamy stan suszy hydrogeologicznej, ogłoszony niedawno przez Państwowy Instytut Geologiczny.

Gdy rolnikowi nagle zaczyna brakować wody w studni, przypuszcza on, że studnia się zamuliła i trzeba ją pogłębić. Rzadziej wiąże to z kilkuletnią suszą. Dzieje się tak, bo zwykle jej skutki nie są bezpośrednio związane z sytuacją meteorologiczną „z wczoraj”. Co więcej, panująca susza nie jest wiązana z gospodarką wodną prowadzoną w Polsce, a wyłącznie ze zdarzeniami meteorologicznymi. Nie widzimy, że pojawiła się, bo na wiele lat zapomnieliśmy o urządzeniach piętrzących w systemach melioracyjnych, regulowaliśmy i odmulaliśmy rzeki, żeby przyspieszyć odpływ, wycinaliśmy roślinność z ich brzegów i koryt. Dzisiejszą suszę mało kto z tymi zdarzeniami wiąże, dlatego może się wydawać niespektakularna, ale dla rolników jest bardzo, bardzo groźna.

Zatem twierdzenie, że mamy suszę rolniczą, bo nie padają deszcze, jest dużym uproszczeniem?

Oczywiście. Polska boryka się z dużym deficytem wody, co może prowadzić do poważnych problemów w przyszłości. Roczne opady wynoszą średnio 600 mm, z czego 450 mm odprowadza, a 100–120 mm odpływa rzekami. To stawia Polskę wśród krajów europejskich z najniższymi zasobami wodnymi na mieszkańca. Bardzo lubię porównania, które mogą nam pewne zjawiska uświadomić. Możemy

wieć powiedzieć, że akurat teraz, pod koniec miesiąca, nie mamy pieniędzy na koncie, bo nikt nam nie wypłacił wynagrodzenia. To wynagrodzenie, jakie by nie było, dostaliśmy wcześniej i mogliśmy przewidzieć, że w pewnym momencie zabraknie nam pieniędzy. A gdybyśmy przewidzieli, moglibyśmy się do tego momentu przygotować. Pytanie, czy tak samo podchodzi się do suszy.

Ale możemy też powiedzieć, że mamy wynagrodzenie tak małe, zasoby wody tak małe, że na co dzień borykamy się z jej deficytem.

Tak, ale skoro jesteśmy tego świadomi, powinniśmy podejmować działania zmierzające albo do ograniczenia wydatków, albo do zwiększenia przychodów.

Czyli inaczej mówiąc, musimy albo oszczędzać wodę, albo zwiększyć jej zasoby.

Musimy podejmować radykalne działania i rolnictwo takie działania podejmuje. Tylko, niestety najczęściej sięga w skali całego kraju po wody podziemne.

Ale to nie jest dobre działanie?

Jest dramatyczne w dłuższym horyzoncie czasowym, choć obecnie wydaje się jedynym możliwym. Wobec postępującej suszy, powodowanej głównie znacznym wzrostem parowania w wyniku ocieplenia klimatu, zaraz się może okazać, że nie mamy wód podziemnych albo mamy ich tak mało, że trzeba będzie bardzo głęboko kopać studnie, by sięgnąć kolejnych poziomów wodonośnych. Okazuje się, że ta woda jest zanieczyszczona związkami żelaza i manganu, a jej ujęcia muszą być wyposażone w kosztowne, specjalne instalacje, aby radzić sobie z problemem suszy. Z jednej strony korzystamy z zasobów ponad miarę, a z drugiej strony pozabawiamy się możliwości ich odtworzenia, spuszczając wodę z krajobrazu. Wyprostowane, niemeandrujące rzeki szybciej płyną i szybciej będą wysychać. Powinniśmy dbać przede wszystkim o to, żeby odnawiać zasoby wodne w skali krajo-brazu i zużywać mniej zasobów wód podziemnych, by doprowadzić do ich otworzenia.

Nie ulega wątpliwości, że musimy retencjonować wodę, tylko gdzie i jak ją zbierać?

No właśnie, trzeba zwrócić uwagę na to, że przez wiele lat nomenklatura wodno-gospodarcza przyzwyczaiła nas do mówienia o retencji zbiornikowej. Ale, susza hydrologiczna to skutek różnicy bilansu wodnego, która wynika z naturalnych procesów przebiegających w krajo-brazie. Retencja powinna więc polegać przede wszystkim na odtwarzaniu tak zwanej retencji krajo-brazowej, czyli łapaniu wody tak wysoko w zlewni, jak się da – najlepiej blisko miejsca, w którym spada wraz z deszczem. Kluczowe jest gromadzenie wody w krajo-brazie poprzez tworzenie mokradeł, oczek wodnych (tam, gdzie niegdyś były), bagiennych stref buforowych oraz poprzez renaturyzację rzek i dbanie o stan gleb. Takie działania pomagają w stabilizacji odpływu wód i przeciwdziałają skutkom suszy. Budowa dużych zbiorników reten-

cyjnych nie jest skutecznym rozwiązaniem, szczególnie dla rolnictwa.

Nie spotkałem się jeszcze z przykładem, by rolnicy pobierali wodę ze zbiorników „małej retencji”, jakich setki zbudowano przez ostatnie 30 lat. Nie widziałem instalacji przerzucającej wodę ze zbiornika na pole. Widziałem za to zbiorniki „małej retencji” zbudowane na małej rzece, która poniżej nich wysychała, bo parowanie ze zbiornika było większe niż dopływ do niego. Duże zbiorniki retencyjne muszą z kolei podlegać weryfikacji pod kątem gospodarowania zebraną w nich wodą. Klasycznie – napełnialiśmy je wodami wiosennego wezbrania, a zgromadzone zapasy wykorzystywaliśmy w okresach suszy. Popatrzmy na ostatnie bezśnieżne zimy i odpowiedźmy sobie sami na pytanie, skąd może się ta woda wziąć...skąd ma się wziąć to wiosenne wezbranie. W długim horyzoncie czasowym opadów w Polsce jest co roku tyle samo. Oczywiście zachodzą niewielkie zmiany, ale żadnego trendu nie ma. Natomiast rośnie średnia temperatura powietrza, rośnie parowanie i wydłuża się okres wegetacyjny. Podkreślam, że zbiorniki ani dużej, ani małej retencji nie rozwiążą nam problemu suszy.

Małą retencję starają się robić leśnicy w lasach.

Rolnicy też ją robią. W 2020 roku, kiedy zaczynał się COVID-19, była bardzo długa susza. Mieszkalem wtedy na wsi i przekonałem się, że rolnicy na Podlasiu próbowali sobie z nią radzić, rzucając baloty z siana, ze słomy do rzek, żeby zatykać ujścia rowów melioracyjnych i spowalniać odpływ wody. Później, w roku 2022, dzięki rolnikom udało się doprowadzić do zmiany zapisu artykułu 395 Prawa wodnego, aby działania polegające na zatrzymywaniu wody w systemach melioracyjnych nie wymagały pozwolenia wodnoprawnego ani zgody wodnoprawnej. Można więc zgodnie z prawem zatkać rowy melioracyjny na własnym gruncie, o ile zmiana ta nie wpłynie na tereny niebędące we władaniu danego właściciela. Ta zmiana została wprowadzona na wniosek rolników, bo oni wiedzą, skąd się bierze woda.

Dobrze, że rolnicy starają się na własnym terenie poprawiać gospodarkę wodną, ale brakuje rozwiązań systemowych. Co robią ministerstwa, Wody Polskie?

W ministerstwach pracują urzędnicy, którzy biorą pod uwagę przede wszystkim kwestie wynikające głównie z Prawa wodnego, częściowo z Prawa budowlanego. Są tam na przykład zapisy dotyczące aktualizacji planów gospodarowania wodami i planów utrzymania wód, które dotyczą wykonywania prac utrzymaniowych. Wskazane są działania, które należy podejmować w ramach Krajowego planu renaturyzacji wód powierzchniowych. Każdy z tych programów ma inny cel, ale wszystkie działają na tym samym organizmie. Patrząc z boku, odnosi się jednak wrażenie, że te wszystkie zapisy ze sobą nie współgrają.

Czyli należałoby zmienić prawo?

Bezwzględnie trzeba je uprościć.

Sprawić (na przykład, żeby podstawowe działania, które można wykonać, aby zwiększyć zasoby wodne, były wpisane do katalogu prac utrzymaniowych. Obecnie obejmuje on osiem działań, z których siedem polega na usunięciu czegoś z rzeki, a ósme to zasypywanie wyrwy na jej brzegu. Przewiduje na przykład wycięcie drzewa na brzegu, ale już nie jego posadzenie. Przewiduje usunięcie kamienia z dna rzeki, ale już jego powtórne wrzucenie do rzeki wymaga pozwolenia na budowę. Taka asymetria, faworyzująca uproszczenia działań pogłębiających ryzyko suszy, a utrudniająca działania ograniczających to ryzyko, jest rozwiązaniem systemowym sprawiającym, że susza będzie się u nas miała coraz lepiej. Należy jak najszybciej doprowadzić do rozszerzenia katalogu prac utrzymaniowych w art. 227 ustawy Prawo wodne o takie, które ograniczają ryzyko suszy.

Instytut Uprawy Nawożenia i Gleboznawstwa – Państwowy Instytut Badawczy (IUNG-PIB) w Puławach prowadzi monitoring suszy rolniczej. Jakie wnioski płyną z tych obserwacji i czy mają przełożenie na działania podejmowane przez resort rolnictwa, Wody Polskie czy inne instytucje?

Przełożenie wyników monitoringu suszy na działania operacyjne jest niestety znikome. Dotyczy to zresztą nie tylko tego systemu. Mamy program przeciwdziałania niedoborowi wody, program przeciwdziałania skutkom suszy... Na poziomie operacyjnym te dokumenty są jednak wdrażane – delikatnie mówiąc – homeopatycznie.

Jakie obszary Polski i jakie uprawy są najbardziej narażone na suszę rolniczą?

Najgorzej mają się uprawy jare. Głównym problemem jest rozpoczęający się wcześniej okres wegetacyjny i brak retencji glebowej. Wiosenna susza jest wyniszczająca dla upraw jarych. Ozime mają się nieco lepiej. Na suszę narażone są również te uprawy, które produkują dużo suchej masy, np. buraki cukrowe. Natomiast obszary najbardziej narażone na suszę to północ i środek Polski, a generalnie te, gdzie mamy najgorsze albo średniej jakości gleby: Mazury, Wielkopolska, Podlasie, województwo łódzkie. Proszę sobie wyobrazić, że w zeszłym roku, gdy we wrześniu mieliśmy do czynienia z ogromną powodzią w południowej części Polski, to na Podlasiu, Suwalszczyźnie, Mazurach było najwyższe zagrożenie suszą.

Dostępne informacje na temat łącznej kwoty odszkodowań wypłaconych rolnikom z powodu suszy w Polsce są ograniczone i dotyczą głównie lat wcześniejszych. Na przykład do czerwca 2020 roku wypłacono z tego tytułu 1,2 mld złotych.

W naszych badaniach naukowych i wdrożeniowych proponujemy rolnikom dopłaty retencyjne i węglowe, rynkowy ekwiwalent za utrzymywanie wody na obszarach zalewowych albo w miejscach, gdzie występują od czasu do czasu jej wysokie stany. Rolnik powinien mieć płacone na przykład

za to, że w ten sposób kumuluje wodę. W naszych badaniach analizowaliśmy, ile kosztuje retencja 1 m³ wody w sztucznych zbiornikach. Okazało się, że 2 zł rocznie. Jeśli rolnik ma podtopioną łąkę przez dwa miesiące wodą o głębokości 10–20 cm, to powinien dostać pieniądze za retencjonowanie wody na swoim terenie. Tak liczona dopłata wynosi nawet 2–3-krotnie więcej niż obecnie oferowana rolnikom w ramach pakietów wodno-środowiskowo-klimatycznych dopłata retencyjna na poziomie 280 zł za hektar. Podobnie ma się rzecz z węglem. Jeżeli na trwałym użytku zielonym są gleby potorfowe, to podniesienie na takiej łące poziomu wody o 10 cm spowoduje spadek emisji gazów cieplarnianych o 5 ton. Tona ekwiwalentu CO₂ kosztuje obecnie 70 euro. Nagle okazuje się, że rolnictwo „węglowo-wodne”, a więc zorientowane na zatrzymywanie na swoim terenie węgla i wody, to nie jest mrzonka, tylko działanie, które można ekonomicznie wycenić. Gdyby do tego dodać rolnictwo bagienne, paludikulturę, czyli uprawę roślin znoszących warunki bagienne – trzcinę, pałkę czy mchy torfowce – to może się okazać, że stoimy u progu wdrożenia nowoczesnych schematów rolnictwa dopasowanego do warunków środowiska i ograniczającego ryzyko suszy.

Budowa dużych zbiorników retencyjnych nie jest skutecznym rozwiązaniem, szczególnie dla rolnictwa.

Wydaje się, że nie ma prostego przepisu na rozwiązanie problemów z wodą.

Potrzebna jest zmiana legislacji, promowanie projektów opartych na naturze, potrzebna jest też edukacja. Gdybyśmy rozumie-li, że nasze działanie może prowadzić do pogorszenia zasobów wodnych, może zrezygnowalibyśmy z niektórych hobby, na przykład z jazdy na nartach w marcu po nasnieżanych stokach, gdy wokół zielono. Woda, z której produkujemy sztuczny śnieg, jest często zabierana z pobliskiej rzeki lub potoku, a wyprodukowany śnieg utrzymuje się przy użyciu substancji, które dla środowiska nie są obojętne. Gdy patrzymy w prognozy, widzimy, że czekają nas coraz głębsze susze, na które zbiorniki retencyjne nie pomogą. Czekają nas też coraz większe powodzie, na które duże zbiorniki będą wciąż za małe. Moim zdaniem jedynym ratunkiem jest rozproszenie działań przeciw suszy czy przeciw powodzi w krajo-brazie i przyzwyczajenie się do myśli, że te dwa ryzyka pozostaną z nami na dłużej. Susza jest jednak jakby schowana, gdyż postępuje powoli, przez lata. Więc, przyzwyczajamy się do niej i przestajemy o niej pamiętać. To błąd.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: Jacek Żyśk



Roman Konieczny

Nie powinniśmy robić sobie wielkich nadziei na poprawę sposobu ograniczania ryzyka powodziowego w Polsce, bo nasz sposób myślenia o tym pochodzi z czasów króla Cieciszki. Podstawą jest stereotyp, że obywatele nie powinni się bać katastrof naturalnych, bo państwo ich ochroni. A państwo tkwi w tej dziedzinie korzeniami w przeszłości i jedyną metodą działania jest budowa zbiorników, wałów i regulacja rzek. Natomiast propozycji, które umożliwiłyby większą skuteczność systemu przeciwpowodziowego, na razie nie widać.

Warto przypominać, że sukces w tej dziedzinie tylko częściowo zależy od inżynierii. Nie liczą się tylko rozwiązania techniczne, ale przede wszystkim działania interdyscyplinarne, w których istotną rolę odgrywałoby racjonalne planowanie przestrzenne, wzmocnienie naturalnej retencji, zabiegi opóźniające spływ powierzchniowy w lasach i na polach, ograniczenia zabudowy, przystosowanie istniejących obiektów do powodzi, doskonalenie skutecznych systemów wczesnego ostrzegania oraz systemy zabezpieczenia finansowego osób zagrożonych (np. w miarę tanie ubezpieczenia powodziowe).

Dlaczego skupianie uwagi na suchych zbiornikach to ślepa uliczka?

Widać wyraźnie, szczególnie na przykładzie ziemi kłodzkiej, że suche zbiorniki powodziowe lub wielozadaniowe zbiorniki retencyjne nie są rozwiązaniami radzącymi sobie z każdą powodzią. Analizując dostępne dane, trudno nie mieć wrażenia, że wiele z nich zawiodło. Niektóre, nie tylko w Kotlinie Kłodzkiej, zostały przelane, co oznacza, że straciły możliwość zagospodarowania powodzi. Co gorsza, część z nich wypełniła się przed nadejściem fali kulminacyjnej, a to znaczy, że nie zredukowała powodzi nawet o centymetr. Dotyczy to takich zbiorników, jak Krosnowice, Międzygórze, Rożtoki, Jarnołtówek i Lubachów. Mielismy też do czynienia z jedną katastrofą zaporę – w Stroniu Śląskim – i awarią przepustu między zbiornikami Topola i Otmuchów, co spowodowało poważne problemy z działaniem zbiornika w Nysie. Jakby tego było mało, wiele innych zbiorników zostało wypełnionych tak bardzo, że burmistrzowie leżących niżej miejscowości z lęku o mieszkańców zarządzili ewakuację. Dotyczyło to między innymi zaporę w Pilchowicach, drugiej co do wysokości w Polsce.

Czy stało się tak dlatego, że było ich za mało? To popularna opinia, ale w większości przypadków nieprawdziwa. Skuteczność zaniechaną w 2019 r. koncepcji budowy dziewięciu zbiorników w Kotlinie Kłodzkiej, do której wracał zespół pod kierownictwem ministra Kierwińskiego, była niska. Redukcja powodzi stuletniej była mniejsza niż 50 cm w połowie z 36 punktów wyznaczonych na Nysie Kłodzkiej i dopływach. W Kłodzku, gdzie straty sięgają 60% wszystkich strat

w Kotlinie, redukcja takiej powodzi wynosiła 54 cm – przy stanie wody 650 cm w 1997 r. Podobne efekty dawała koncepcja przygotowana prawie 20 lat wcześniej, w roku 2001. Widać więc, że same zbiorniki w takich miejscach – po prostu – nie spełniają swojej funkcji.

Wymienione wcześniej działania interdyscyplinarne, mające uzupełniać skuteczność retencji czy ją zastępujące nie są realizowane, a jeśli nawet są, to bez przekonania, jakby mimochodem, bez wyobraźni, a czasem wręcz bezmyślnie. W efekcie są nieskuteczne. A mogą one w podobnym stopniu jak zbiorniki wpływać na wielkość strat powodziowych i poczucie bezpieczeństwa. Pokażę to na dwóch przykładach: dostępu do informacji o zagrożeniu powodziowym oraz ograniczenia zabudowy terenów zalewowych.

Przykład 1. Brak dostępu do informacji o zagrożeniu powodziowym

Mapy zagrożenia powodziowego są kluczowe dla utrzymania świadomości o zagrożeniu. Pozwalają nam sprawdzić, czy mieszkamy na terenach zalewowych i jak duże wiąże się z tym zagrożenie. Od wiedzy mieszkańców na ten temat ściśle zależy ich reakcja w momencie zagrożenia powodzią i w jej trakcie. Dlatego w dyrektywie powodziowej Unii Europejskiej podkreśla się mocno rolę komunikacyjną map.

PGW Wody Polskie zleciły opracowanie map zagrożenia i ryzyka powodziowego. Pokazują one z jednej strony zasięgi małej, średniej i dużej powodzi, z drugiej informują, co znajduje się na zagrożonych terenach i jakie mogą być straty, jeśli powódź nastąpi.

W praktyce wygląda to mniej pięknie. Mapy zostały opublikowane w ogólnie dostępnym Hydroportalu. Jednak sposób udostępnienia powoduje, że niewiele osób potrafi sprawdzić, czy są zagrożone i jak bardzo. Barrier jest wiele: bariera dostępu – skomplikowana droga dotarcia do map w interesującej nas okolicy, bariera językowa – człowiek nie rozumie tekstów objaśniających, bo to zawodowy żargon, bariera nadmiaru – narzędzie oferuje tak wiele wariantów map, że nikt, kto się w tym nie specjalizuje, nie poradzi sobie z wyborem.

Jednym z przykładów utrudnień, obrazującym dwie z tych barier, jest propozycja wyboru mapy oferowana użytkownikowi portalu:

- MZP z głębokością wody – 0,2% (raz na 500 lat)
- MZP z głębokością wody – 1% (raz na 100 lat)
- MZP z głębokością wody – 10% (raz na 10 lat)
- MZP z prędkością wody – 0,2% (raz na 500 lat)
- MZP z prędkością wody – 1% (raz na 100 lat)
- MZP z prędkością wody – 10% (raz na 10 lat)
- MZP – zniszczenie lub uszkodzenie budowli piętrzącej
- MZP – całkowite zniszczenie

wału przeciwpowodziowego

Czy ktoś wie, co to jest MZP w odniesieniu do podanej częstotliwości? Widać wyraźnie, że połapanie się w tym informacyjnym galimatiasie przekracza możliwości przeciętnego użytkownika. Pomijając stosowanie akronimów, pojęcia prawdopodobieństwa, lakonicznych opisów i zawodowego bełkotu, nikt, kto nie zajmuje się zawodowo powodzią, nie będzie wiedział, co wybrać.

Czy można inaczej?

Dostęp do map w wykonaniu Agencji Środowiskowej Zjednoczonego Królestwa wygląda zgoła odmiennie. Do informacji o zagrożeniu w miejscu zamieszkania dochodzi się przez kod pocztowy – to łatwy sposób wyszukiwania. Potem pojawia się informacji słowna na temat zagrożenia w tym obszarze, operująca takimi pojęciami, jak zagrożenie bardzo niskie, niskie średnie i wysokie. Można też sprawdzić głębokości wody w czasie powodzi. W końcu można też wyświetlić mapę. Nie mówiąc o tym, że można również sprawdzić, jakie będzie zagrożenie za 30–40 lat. Czy chcemy, by mieszkańcy terenów zagrożonych powodzią ignorowali informacje alarmujące o jej wystąpieniu? Czy chcemy, by decyzje o zamieszkaniu były podejmowane bez pełnej wiedzy o czynniku powodziowym? Jeśli nie, to istnieje pilna konieczność zmiany map, a tym zbudowania przejrzystego i przyjaznego odbiorcom sposobu informowania na ten temat. Warto wzorować się na brytyjskich rozwiązaniach.

Przykład 2. Ograniczanie zabudowy na terenach zalewowych – spektakularna porażka

Trzeba przyznać, że pomysł, by ograniczać zabudowę na terenach zagrożonych powodzią wprowadzono w Polsce zanim w Europie zatwierdzono Dyrektywę Powodziową. Można to uznać za sukces, choć z realizacją poszło nam znacznie gorzej. Tak w największym skrócie, wyglądała sekwencja zdarzeń:

Wprowadzenie zakazu. W 2001 r. wprowadzono zakaz budowy jakichkolwiek obiektów na terenach zagrożonych powodzią, a w 2007 r. zdefiniowano, że dotyczy to zasięgu powodzi stuletniej. To ponad 3% powierzchni kraju – prawie 11 tys. km²

Przerzucenie kosztów na jednostki samorządu terytorialnego. Dla właścicieli terenów budowlanych taki zakaz wiązał się ze spadkiem wartości gruntu, więc według prawa należy się im rekompensata. Władze państwowe wymyśliły, że decyzje o zakazie będą wdrażane poprzez miejscowe plany zagospodarowania i decyzje o warunkach zabudowy, więc koszty rekompensat ponosiły gminy.

Bierny opór. By nie płacić dużych odszkodowań, rujnujących lokalne budżety, gminy latami nie sporządzały i nie aktualizowały miejscowych planów zagospodarowania przestrzennego terenów zalewowych. Zakazy wydawały tylko

wtedy, kiedy ktoś wystąpił o decyzję o warunkach zabudowy.

Dyscyplinowanie przez państwo. Władze potraktowały to jako nie-subordynację – w konsekwencji do prawa wpisano obowiązek uaktualnienia starych MPZP w ciągu 12 miesięcy. A kiedy ten termin uznano za absurdalny (około 40 tys. planów w Polsce ma więcej niż 20 lat), wydłużono go do 30 miesięcy.

Propozycja układu. Ponieważ powodowałoby to konieczność wypłacania w krótkim czasie ogromnych odszkodowań (w niektórych gminach kilkakrotnie przekraczających roczne wpływy do budżetu) samorządy zaproponowały, by państwo partycypowało w tych kosztach. Spotkały się z odmową. Zaczęły się wtedy ostre ogólnopolskie protesty.

Rezygnacja. W 2015 r. nowa władza zlikwidowała obligatoryjny zakaz, a decydowanie o zabudowie przekazała Wodom Polskim. Jaki był efekt? Jak wynika z raportu NIK, w latach 2018–2021 spółka wydała ponad 19 tys. decyzji w tych sprawach, z czego aż 90% zawierało zgodę na rozpoczęcie tam inwestycji. Zgody w następnych latach dotyczyły jeszcze większej liczby decyzji.

Podsumowując: Polska po ponad 20 latach prób i wydaniu znacznie



ponad 150 mln złotych na mapy zagrożenia i ryzyka zrejetowało z jakichkolwiek regulacji zabudowy na terenach zagrożonych powodzią. W praktyce przerzuciło decyzję na inwestorów.

Czy można inaczej? Na świecie praktycznie nie stosuje się zakazów budowy obiektów na tak dużym obszarze z uwagi na zagrożenie powodziowe. Warto pamiętać, że to z różnych względów atrakcyjne tereny, więc nie ma sensu wyłączać ich z użytkowania z powodu powodzi zdarzających się średnio co kilkadziesiąt lat. Można natomiast wdrażać zakazy budowy niektórych obiektów stwarzających dodatkowe zagrożenie, takich jak magazyny chemiczne, farmaceutyczne lub niemożliwych do ewakuacji, jak kurniki i chlewnie z tysiącami zwierząt. Można się też zastanawiać, czy rozsądnie jest lokalizować w tych strefach więzienia, domy opieki lub nawet niektóre oddziały szpitalne. Natomiast często stosuje się dobrowolne wykupy nieruchomości szczególnie zagrożonych – i co najważniejsze – promuje się oraz finansowo wspiera przystosowanie istniejących i nowo budowanych obiektów do powodzi (normy budowlane, rekomendacje, informatory, szkolenia itd.). To znaczy zakres i rodzaj zabudowy uzależnia się nie tylko od ryzyka powodzi, ale także od konsekwencji środowiskowych, które miałyby miejsce podczas jej wystąpienia.

Problemów jest więcej

Podane przykłady to tylko dwie pozycje z długiej listy działań, które nieprofesjonalnie wdrażane są nieskuteczne i nie poprawiają bezpieczeństwa państwa. Zmarnowano na nie czas, pieniądze i wysiłek wielu osób. Można się pocieszać tym, że da się je po prostu naprawić. Ale jest jeszcze długa lista działań, który się w sposób systemowy w ogóle w Polsce nie podejmuje. To problem retencji zlewniowej – w tym renaturyzacji rzek, skuteczności systemów ostrzegania, ubezpieczeń powodziowych i wielu innych pomijanych rozwiązań.

Kluczową rolę powinna jednak odgrywać zmiana paradygmatu – zamiast opierania całego systemu na opiekuńczym państwie, co jest nieskuteczne, należałoby przejść do wspierania przez państwo aktywności innych podmiotów. Warto pamiętać, że planowanie przestrzenne to domena samorządów, podobnie jak organizacja ewakuacji podczas powodzi. Właściele obiektów prywatnych mogą sami zabezpieczać swoje budynki, a instytucje mogą same zadbać o to, by archiwów ważnych dokumentów nie lokalizować w piwnicach. Państwo ma tworzyć instrumenty prawne, organizacyjne, finansowe i informacyjne, by to wszystko sprawnie i w sposób ciągły działa-

ło.

Czy uczymy się czegoś na takich doświadczeniach, jak powódzie w latach 2024 i 2025? Czy próbujemy analizować, co działało dobrze, a co było niesprawne? Zdecydowanie nie. Nie powołano żadnego niezależnego zespołu, który mógłby takiej oceny dokonać. W efekcie nikt nie odpowiada na pytania, dlaczego nie działają systemy ostrzegania przed awarią zapor, dlatego ludzie nie wiedzą dokąd się ewakuować, dlaczego nie wierzą prognozom i ostrzeżeniom, podejmując niebezpieczne decyzje, by zostać w domu. Bez odpowiedzi pozostaje pytanie, co jest z tymi zbiornikami, które w wielu miejscach raczej stanowiły zagrożenie, niż dawały ochronę ludziom i zwierzętom.

Roman Konieczny

.....
Roman Konieczny jest specjalistą ds. gospodarowania wodą, ograniczania ryzyka powodziowego i komunikacji w tym zakresie. Uczestniczył w wielu projektach międzynarodowych finansowanych przez Unię Europejską, Światową Organizację Meteorologiczną i Bank Światowy. Przez dziesięć lat prowadził zespół ds. współpracy z samorządami w Instytucie Meteorologii i Gospodarki Wodnej w Krakowie.



Artur
Furdyna

Wydawać by się mogło, że koncepcja zarządzania środowiskiem, którą w języku polskim nazywamy renaturyzacją lub też ponownym przywróceniem stanu dzikiego (od angielskiego słowa *rewilding*) nie ma wiele wspólnego z rolnictwem.

Istotą renaturyzacji jest brak ingerencji człowieka w ekosystemy – pozostawienie ich kształtowania, regeneracji i odnowy procesom naturalnym. Wszystko zgodnie z założeniem, że natura najlepiej rządzi się sama. Jest to odmienne podejście od klasycznej „ochrony przyrody”, która skupia się na odtwarzaniu i ochronie konkretnych typów siedlisk i gatunków, czego standardowym przykładem jest europejski program Natura 2000.

Renaturyzacja kładzie nacisk na odtwarzanie wymarłych lub znacznie ograniczonych populacji dzikich zwierząt i naturalnych reżimów wodnych, głównie poprzez umożliwienie rzekom swobodnego rozlewania i meandrowania. Jest to często związane z rozbiorem różnego rodzaju budowli hydrotechnicznych.

Biorąc pod uwagę, że głównym zadaniem gospodarki rolnej jest dostarczenie płodów rolnych poprzez uprawianie ziemi i chów zwierząt, wydaje się niemożliwe, by rolnictwo i renaturyzacja mogły współistnieć na tym samym obszarze. Na pewno nie całkowicie, jednak wprowadzenie wielu aspektów renaturyzacji na obszary produkcji rolnej jest zarówno możliwe, jak i konieczne. Szczególnie, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że użytki rolne zajmują w Polsce około 47% powierzchni kraju. Ich stan – przyczyniający się do ochrony zasobów wodnych i różnorodności biologicznej – ma więc kluczowe znaczenie.

Rolnictwo przyjazne środowisku

Przez dziesięciolecia gospodarka rolna miała na celu maksymalizację produkcji głównie poprzez zwiększenie wykorzystania szerokiej gamy środków i metod rolnictwa konwencjonalnego (np. środków chemicznych takich jak nawozy sztuczne i pestycydy syntetyczne, a także nawadnianie), co spowodowało degradację ekosystemów oraz drastyczny spadek różnorodności biologicznej na całym świecie. Dziś, wiemy już, że jednym z najlepszych sposobów na wzrost bioróżnorodności użytków rolnych jest ograniczenie lub całkowite wykluczenie chemii rolniczej w nawożeniu i ochronie roślin. Tak jak ma to miejsce w rolnictwie ekologicznym i biodynamicznym, agroekologii oraz rolnictwie regeneratywnym (w pewnym zakresie). Są to przykłady systemów produkcji rolnej, które w zrównoważony sposób gospodarują gruntami rolnymi poprzez stosowanie praktyk przyjaznych środowisku. Natomiast metody ich renaturyzacji bazują na dwóch podejściach do zarządzania terenem, tj. **wydzielaniu ziemi**

RENATURYZACJA W ROLNICTWIE – DŁUGOTERMINOWE KORZYŚCI DLA PRODUCENTÓW ROLNYCH

(ang. *land sparing*) i **współdzielenie ziemi** (ang. *land sharing*).

Współdzielenie i wydzielanie ziemi

Współdzielenie gruntów oznacza połączenie naturalnych elementów krajobrazu z krajobrazem rolniczym. Przykładowo, mogą to być drzewa sadzone między polami lub wzdłuż dróg, ścieżek czy strumieni. Również martwe drzewa odgrywają kluczową rolę w zdrowym ekosystemie – pozostawienie martwych drzew, pni lub nawet gestych stosów gałęzi do naturalnego rozpadu sprzyja ochronie lokalnej różnorodności gatunków roślin i zwierząt, stanowiąc „spizarnię” dostarczającą pożywienia wielu organizmom, takim jak owady, grzyby i ptaki oraz wzbogacając glebę w składniki pokarmowe.

Dobrym rozwiązaniem są również tzw. „żywe ogrodzenia” wykonane z krzewów i krzewinek. Posłużą jako siedliska dla ssaków, gadów, ptaków i owadów, podobnie jak pozostawiane w środowisku kamienie i głazy. Pasy dzikich roślin kwitnących między polami, będą bezcenne dla owadów zapylających, a utworzenie małych zwierzętom, w tym ptakom drapieżnym, które kontrolują populacje małych gryzoni. Współdzielenie gruntów oznacza poprawę środowiska rolniczego dla dzikich zwierząt i roślin, a efekty takiej renaturyzacji mogą rozprzestrzeniać się na resztę krajobrazu. Warto tutaj podkreślić, że do niedawna tego typu „dzikie” elementy były wręcz wizytówką krajobrazu rolniczego w Polsce. Chociaż wciąż są one jeszcze widoczne, zwłaszcza we wschodniej części kraju, to niestety jest ich coraz mniej.

Z drugiej strony praktyka nazywana **wydzielaniem** ziemi odnosi się do strategii, w której rolnictwo, w tym również rolnictwo intensywne, pozostawia części terenu bez produkcji, by umożliwić przyrodzie naturalny rozwój. Choć metoda ta jest odrzucana, głównie ze względów ekonomicznych, to wydaje się, że w przyszłości może zyskiwać na popularności. Studia prowadzone w tym zakresie pokazują, że jest ona niezwykle korzystna pod kątem poprawy różnorodności biologicznej, bez większego uszczerbku dla produkcji rolnej, co wykazały również badania przeprowadzone we wschodniej Polsce.

Należy tutaj podkreślić, że bez względu na formę i zakres renaturyzacji, jeden aspekt pozostaje niezmienny – **więcej dzikiej przyrody oznacza więcej dzikich zwierząt**. Ich obecność jest o tyle nieunikniona, co konieczna w przywracaniu bardziej naturalnego charakteru na terenach rolniczych, a my musimy się do tego dostosować i nauczyć się z nimi żyć. Także dla własnych

korzyści – zdrowsza gleba zdrowsze rośliny, więcej owadów więcej naturalnych wrogów szkodników, więcej drapieżników mniej gryzoni i w końcu więcej zapylaczy. Efekty mogą przerosnąć nasze oczekiwania. Jeśli chodzi o ochronę wody, warto dać szansę bobrom. Ona najlepiej i najszybciej zwiększą retencję wody i poprawią stan całego ekosystemu.

Prowadzenie renaturyzacji na użytkach rolnych opłaca się nie tylko przyrodzie. Wręcz przeciwnie, jeżeli wyciągniemy rękę w stronę natury, odpłaci się nam ona z nawiązką! Co zyskujemy? Po pierwsze zatrzymanie i odwracanie procesu degradacji gleb. Tym samym – po drugie – zwiększanie zasobów wodnych. I po trzecie, utrzymanie populacji owadów zapylających. To oznacza, że renaturyzacja zapewnia warunki niezbędne dla

liczby owadów zapylających i owadożernych, co w konsekwencji może poprawić plony, jest powszechnie znany i powtarzany do znudzenia. Rzadziej jednak mówi się o tym, że różnorodność biologiczna przyczynia się do powstania zdrowej sieci mikoryzowej lub mówiąc inaczej grzybni, która współżyje z korzeniami roślin znacząco poprawiając stan gleby.

Renaturyzacja może zatem stanowić rozwiązanie dla kolejnego problemu, który dotyka wiele gospodarstw rolnych w Polsce – posiadania mało urodzajnych gleb i coraz większego spadku opłacalności produkcji rolnej. W poszukiwaniu alternatywnego źródła dochodu gospodarstwa rolnego, warto pomyśleć o renaturyzacji.

Taką właśnie strategię przyjęli właściciele gospodarstwa rolnego

w Wielkiej Brytanii, największą populacją legową rzadkich motyli cesarza purpurowego, wszystkimi pięcioma rodzimymi gatunkami sów. Są także miejscem dla 16 legowych samców turkawki, wraz z samicami i pisklętami – gatunku, który na brytyjskich wyspach jest zagrożony niemal całkowitym wyginięciem. Do posiadłości przyjeżdżają turyści z całego świata, aby na własne oczy zobaczyć tętniący życiem obszar, które jeszcze niedawno był jedynie nieurodzajną ziemią.

Knepp Castle Estate stało się sztandarowym przykładem połączenia pomiędzy renaturyzacją i produkcją żywności, inspirując setki kolejnych rolników zarówno w Wielkiej Brytanii, jaki i poza jej granicami. Oczywiście, nie każdy rolnik zdecydował się na zupełną zmianę prze-



Bydło długorogie w Knepp Wildland w 2019 r. Peter Eastern, CC BY-SA 4.0

długoterminowej stabilności rolnictwa i produkcji żywności.

Rzecz jasna, może to brzmieć jak bajka, nazbyt piękna, aby mogła być prawdziwa. Warto jednak wsłuchać się w głosy tych, którzy już zdecydowali się wprowadzić renaturyzację w życie. W szczególności Wielka Brytania ma bogate doświadczenie w renaturyzowaniu użytków rolnych, zmuszona do reakcji na problem tak ogromnego zdegradowania gleb, że prowadzenie na nich produkcji rolnej stało się niemożliwe. Rolnicy, którzy zdecydowali się na renaturyzację swoich gospodarstw wskazują, między innymi, że zwiększona ilość roślinności przekłada się wprost na zwiększoną retencję wody. Z jednej strony jest to lepsza ochrona roślin uprawnych przed suszą, z drugiej – w przypadku nadmiaru wody – lepszej absorpcji, ograniczając spływ powierzchniowy, podtopienia oraz zapobiegając erozji gleby.

Fakt, że większa różnorodność gatunków oznacza również wzrost

(...) bez względu na formę i zakres renaturalizacji, jeden aspekt pozostaje niezmienny – więcej dzikiej przyrody oznacza więcej dzikich zwierząt.

Knepp Castle Estate w rejonie Low Weald w hrabstwie Sussex (Wielka Brytania). Właściciele otrzymanego w spadku gospodarstwa ra (3500 akrów terenu) przez długi czas walczyli z problemem nieurodzajnej gleby, usiłując przywrócić jej funkcję produkcyjną przy użyciu tradycyjnych metod intensywnego rolnictwa, coraz to nowszych maszyn rolniczych i nawozów sztucznych. Bezskutecznie. Postanowili więc zmienić mało wydajną produkcję rolną (jako główne źródło dochodu) na miejsce dla turystyki nastawionej na kontakt z przyrodą i jej obserwowanie.

Dziś jest to słynny na całym świecie projekt renaturyzacji w rolnictwie. Może poszczycić się jednym z największych skupisk słowików

znaczenia gruntów rolnych. Warto jednak zapoznać się z projektami renaturyzacji, by móc z nich korzystać także w mniejszym zakresie.

.....
Artur Furdyna – niezależny ekspert ds. ekologii wód. Ichtiolog. Od dwudziestu lat zajmuje się ochroną i renaturyzacją ekosystemów rzecznych na Pomorzu Zachodnim. Laureat nagrody „Ekologicznego Nobla” za projekt renaturyzacji wód. Doradca Sekretarza Generalnego OECD. W magazynie „Wędkarski Świat” od 2002 r. prowadzi forum ekologiczne. Aktywny działacz społeczny, przewodniczy Towarzystwa Przyjaciół Rzek Iny i Gowienicy.

dr Justyna
Zwolińska

OD WIZJI DO DZIAŁANIA,

Uproszczenie Wspólnej Polityki Rolnej (WPR) to główny motyw „Wizji dla rolnictwa i żywności” ogłoszonej w lutym 2025 r. przez Komisję Europejską. Jest on kontynuacją wprowadzanych już w 2024 r. zmian do WPR, wywołanych głównie presją rolniczych protestów w całej Unii Europejskiej. Wówczas został przyjęty pierwszy zbiorczy pakiet uproszczeń dla WPR na rok 2024, następnie powtórzony i rozszerzony w drugim pakiecie uproszczeń WPR ogłoszonym w połowie maja 2025 r. oraz uszczegółowiony zmianami przepisów głównych rozporządzeń regulujących WPR w ramach trzeciego pakietu uproszczeń wydanych we wrześniu 2025 r.

Łącznie pakiety uproszczeń WPR występują pod nazwą „Pakiet omnibus III: Wspólna Polityka Rolna” (jako część znacznie większej reformy upraszczającej polityki UE), a zaproponowane w nim zmiany obejmują:

1. Zredukowanie warunkowości w gospodarstwach rolnych poniżej 10 hektarów – tj. warunków, od których uzależnione jest przyznanie płatności bezpośrednich (płatności do hektara). Chodzi tu o zwolnienie tych gospodarstw z przestrzegania niektórych norm ochrony środowiska nałożonych w ramach norm Dobrej Kultury Rolnej (DKR, nazywane także normami GAEC) oraz ustawowych wymogów zarządzania produkcją rolną (tzw. SMR – Statutory Management Requirements) – i zmniejszenie kar za brak przestrzegania pozostałych.

2. W przypadku niektórych bardziej rygorystycznych wymogów rolnicy mogą korzystać z zachęt do ochrony torfowisk i terenów podmokłych, zgodnie z zasadami Dobrej Kultury Rolnej zgodnej z ochroną Środowiska 2 (GAEC 2).

3. Zmniejszenie biurokracji w gospodarstwach ekologicznych. Między innymi automatyczne uznanie certyfikowanych gospodarstw ekologicznych za spełniające niektóre normy DKR w przyznawaniu im płatności bezpośrednich. Wynika to z uznania przez Komisję Europejską, że system rolnictwa ekologicznego jest „z definicji zielony”,

tj. zgodny z ochroną środowiska i klimatu, a także posiadający największy potencjał zrównoważonego rozwoju gospodarstw rolnych w UE.

4. Usprawnienie kontroli w gospodarstwach rolnych, dzięki wykorzystaniu technologii satelitarnej. Ponadto wprowadzono zasadę tylko jednej kontroli w miejscu na gospodarstwo.

5. Uproszczone płatności dla małych i średnich gospodarstw rolnych w celu zmniejszenia biurokracji. Roczny limit płatności ryczałtowej dla małych rolników ma zostać zwiększony do 2500 euro.

6. Sprawiedliwszy podział środków WPR, z większym uwzględnieniem krajowego zróżnicowania praktyk rolniczych oraz wzmocnienia rozwoju obszarów wiejskich. W tym miejscu należy przypomnieć, że propozycja zmian WPR po 2027 r. dotyczy zniesienia dwóch filarów WPR, dotychczas dzielących ją na filar wsparcia rolnictwa oraz filar wsparcia obszarów wiejskich.

7. Nową płatność kryzysową. Uproszczenie procedur wspierania gospodarstw rolnych dotkniętych zmianami klimatu, niekorzystnymi warunkami pogodowymi oraz chorobami zwierząt.

8. Łatwiejsze pozyskanie wsparcia finansowego przez małe gospodarstwa - 50 000 euro w formie ryczałtu, aby pomóc w poprawie konkurencyjności ich gospodarstw.

9. Mniej biurokracji w administracyjnej obsłudze beneficjentów WPR przez organy krajowe. Powinny one rozwijać systemy cyfrowe zgodnie z zasadą „zgłoś raz, wykorzystaj wielokrotnie”, celem jest, aby rolnicy musieli przesyłać swoje dane tylko raz, za pośrednictwem jednego systemu, co pozwoli zaoszczędzić czas, obniżyć koszty administracyjne i usprawnić zarządzanie gospodarstwem.

10. Wymiana pokoleniowa w rolnictwie. Dziś w UE najczęściej kierownikami gospodarstw rolnych są osoby w wieku powyżej 50 lat i więcej. Wsparcie powinno być kierowane w taki sposób, by ułatwić przekazywanie zarządzania gospodarstwem w ręce młodszych pokoleń (młodzi rolnicy) i motywować do podejmowania działalności rolniczej.

11. Ustalanie na poziomie krajowym, kogo można uznać za osobę prowadzącą działalność rolniczą, tzw. aktywni rolnicy – i w związku z tym uprawniona do otrzymywania środków z budżetu WPR. A kogo należy wykluczyć, gdyż pomimo posiadania ziemi rolniej nie jest na niej prowadzona działalność produkcyjna.

Szacuje się, że powyższe zmiany mogą przynieść rolnikom oszczędności rzędu 1,58 mld euro rocznie, a administracjom krajowym 210 mln euro.

Jak oceniać zaproponowane zmiany?

Zaproponowane uproszczenie WPR można ocenić pod względem:

- **walki z biurokracją**, co jest słusznym i potrzebnym kierunkiem, gdyż rzeczywiście obsługę administracyjną beneficjentów WPR można ocenić jako przerost formy nad treścią. Warto jednak podkreślić, że duży (jeśli nie decydujący) udział w kreowaniu absurdów urzędniczych, nadmiernych regulacji i częstych ich zmian mają władze krajowe. Wygodnie jest wówczas zasłonić się wymaganiami UE, przykrywając chaotyczne, nieterminowe i wadliwe rozwiązania krajowe, a także ich realizację – razem prowadzącą do coraz większej frustracji rolników i zniechęcania ich do prowadzenia działalności rolniczej. Ciekawe zatem, czy Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi dokona – zgodnie z procesem uproszczeń – pełnego monitoringu przepisów krajowych dotyczących rolnictwa i wprowadzi korzystne zmiany.

- **techno rozwiązań dotyczące kontroli gospodarstw rolnych** – korzystne, pod warunkiem dobrego przygotowania i przeprowadzenia. Jednakże zastanawiające przy zasadzie oceny gospodarstwa na podstawie jednej kontroli w miejscu. Dotychczas bowiem – jak podaje Europejski Trybunał Obrachunkowy, kontrole te są prowadzone na zasadzie ryzyka i obejmują 1-2% gospodarstw.

- **uproszczeń dla rolnictwa ekologicznego** – ponownie, bardzo potrzebna zmiana, pod warunkiem, że zostanie powiązana ze zmianą obsługi administracyjnej producentów ekologicznych w Polsce. Dotyczy to zwłaszcza ochrony rolników

ekologicznych przed zniesieniami pestycydów syntetycznych używanych w sąsiadujących z nimi gospodarstwach konwencjonalnymi. Ponadto bardzo potrzebne jest rzeczywiste wsparcie, by zachęcić rolników do stosowania biopestycydów i innych praktyk rolniczych przyjaznych ochronie gleb, wody, powietrza i różnorodności biologicznej. Ciekawe także, co Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi zrobi, by rzeczywiście wspierać rozwój ekologicznej produkcji zwierząt o wysokich standardach dobrostanu – sektora o wieloletniej tendencji spadkowej w Polsce. A może w końcu zmieni się sposób prowadzenia publicznej statystyki dla sprzedaży żywności ekologicznej w Polsce? Może także ministerstwo przyczyni się do rozwoju zielonych zamówień publicznych, ułatwiając wprowadzanie tej żywności do polskich placówek oświatowych i opiekuńczych? To są zmiany, które można podjąć już teraz, niezależnie od władz UE, ale zgodnie z kierunkiem uproszczeń WPR.

- **ochrona przed sytuacjami kryzysowymi wynikającymi z zmian klimatu, ekstremalnych zjawisk pogodowych oraz chorób zwierząt** – i tu powstaje dylemat. Z jednej strony trudno sprzeciwić się pomocy finansowej dla produkcji rolnej dotkniętej takimi kryzysami. Z drugiej trzeba się zastanowić, w jakim stopniu niechęć rolników (ale także władz krajowych) do wdrażania praktyk dla ochrony środowiska i klimatu, powoduje, że sami przyczyniają się do powstawania takich kryzysowych sytuacji. Dodatkowo, bardzo widoczne jest zafiksowanie się na rozwiązaniach technologicznych, nastawionych na adaptację do zmian klimatu w rolnictwie. Po-

nownie, trudno się dziwić. Ale warto zapytać na czym dokładnie polega ta adaptacja. Dobrze odmian roślin odporniejszych na suszę? Manipulacją organizmami zwierząt, by stały się mniej emisyjne? Stosowaniem lepszych urządzeń pomiarowych do oceny warunków pogodowych? Wprowadzeniem OZE, w tym biogazowni? Smutna konstatacja jest taka, że adaptacja ma swoje granice. Jeżeli nie zmieni się system produkcji rolnej, wdrażając znacznie lepsze i w rezultacie tańsze rozwiązania oparte na przyrodzie, jeżeli nadal masowo będą stosowane syntetyczne nawozy i pestycydy, antybiotyki w fermowym utrzymaniu zwierząt pozbawionym dobrostanu, a zarządzanie gospodarką wodną w Polsce będzie ograbić rolnictwo z tego zasobu – to możemy zapomnieć o adaptacji. W rezultacie będziemy tylko zwiększać środki publiczne, by ratować nie tylko rolników przed kryzysem, ale i nas samych przed utratą bezpieczeństwa żywnościowego.

- **poprawy konkurencyjności rolnictwa w UE** – jest oczywiste, że biurokracja to ciężar dla każdego, kto prowadzi działalność gospodarczą albo rolniczą. I z pewnością jej zminimalizowanie poprawi konkurencyjność. Ale to bardzo wąskie rozumienie tego, co naprawdę zapewni konkurencyjną produkcję rolną. A zapewniają ją jak największa ochrona zasobów naturalnych i stabilne warunki pogodowe – dwa czynniki, bez których nie ma wydajnego, odpornego, bezpiecznego i stabilnego sektora rolnego. A przecież uproszczenia WPR właśnie oznaczają deregulację norm, które są kluczowe dla utrzymania i poprawy tych czynników. W ten

Jak rolnicy mają być konkurencyjni, gdy projektowane uproszczenia WPR nie umożliwiają systemowego uwolnienia się przez nich od zewnętrznych kosztów (syntetyczne nawozy i pestycydy, leki weterynaryjne, itp.) i przedstawienia na produkcję wysokiej jakości żywności?



OD UPROSZCZEŃ DO DEREGULACJI

sposób pakiet uproszczeń ocenia prawie 500 organizacji społeczeństwa obywatelskiego z całej Europy – jako pakiet deregulacji zasad i norm służących ochronie środowiska, klimatu, zdrowia i praw społecznych. Ich stanowisko zostało przekazane Komisji Europejskiej.

• **stałego obniżania ambicji ochrony środowiska i klimatu w rolnictwie** – przede wszystkim wyłączenie z przestrzegania norm środowiskowych gospodarstw rolnych poniżej 10 ha, czyli 75% gospodarstw w UE. Ponadto zmiany osłabiające (we wszystkich gospodarstwach) warunkowość, tj. normy Dobrej Kultury Rolnej (czyli GAEC – Good Agricultural and Environmental Conditions – Dobra Kultura Rolna i Warunki Środowiskowe). Komisja Europejska przyznała państwom członkowskim znacznie większą swobodę w ustalaniu tych norm. Do tej Polski w normach GAEC wprowadziła następujące – głównie niekorzystne – zmiany:

– **w normie GAEC 1 (Ochrona trwałych użytków zielonych)** zwiększona została ich redukcja z 5% do 10% jeszcze przed przekształceniem gruntu rolnego w trwały użytk zielony. Sam czas przekształcenia został wydłużony z 5 do 7 lat. Oznacza, to zmniejszenie zasobu kluczowego dla ochrony klimatu, wody, różnorodności biologicznej i możliwości prowadzenia zrównoważonej produkcji zwierzęcej. Ponadto wydłużenie okresu zmiany gruntu rolnego w trwały użytk zielony (TUZ), które najczęściej są utrzymywane w ramach 5-letnich zobowiązań, na dwuletnią przerwę, w której może on zostać zaorany. Właściwie nie jest możliwe, aby taki TUZ został przywrócony do pierwotnego stanu. Ale jest to korzystne dla tych, którzy skupiają się na wysokości dopłat (do gruntów ornych są one wyższe) i cen ziemi (za grunty orne cena jest wyższa).

– **w normie GAEC 2 (Ochrona terenów podmokłych i torfowisk)** wprowadzono możliwość korzystania przez państwa członkowskie z przepisów krajowych w celu określenia zasad dotyczących tej normy. Ta zmiana niekoniecznie musi dawać negatywne skutki. Jeżeli motywacja rolników do ochrony takich terenów będzie wyższa, jeżeli pozostawi im się możli-

wość dobrowolnego ubiegania się o środki w ramach ekoschematów – to zgoda, ta zmiana jest korzystna. Należy jednak wziąć pod uwagę, że zgodnie z rozporządzeniem o odbudowie zasobów przyrodniczych (Nature Restoration Law), ochrona tych terenów wymaga systemowych rozwiązań na poziomie krajowym. Ważne jest zatem wpisanie takiego ekoschematu w te rozwiązania. Niestety, już dziś stajemy w Polsce przed problemem, skąd brać wodę do ponownego nawodnienia torfowisk.

– **w normie GAEC 4 (Strefy buforowe wzdłuż cieków wodnych)**, zmiana ma polegać na dostosowaniu przez państwa członkowskie definicji „cieków wodnych” do przepisów krajowych. Strefy buforowe mają kluczowe znaczenie dla zatrzymania spływu nawozów i środków ochrony roślin do wód.

– **w normie GAEC 5 (Erozja gleby) oraz GAEC 6 (Minimalna pokrywa glebowa)** przewidziano zwolnienia z tych praktyk – o kluczowym znaczeniu dla ochrony gleb w Polsce, które i tak zalicza się w większości do gleb słabych – dla gospodarstw rolnych o powierzchni poniżej 1 hektara, dla niektórych gospodarstw o nieregularnym kształcie lub specyficznych systemach nawadniających oraz w przypadku „szczególnych zjawisk pogodowych”. Skrócono okres utrzymania pokrywy glebowej i dopuszczono stosowanie w nim zabiegów agrotechnicznych.

– **w normie GAEC 7 (Zmianowanie i dywersyfikacja upraw na gruntach ornych)** – w Polsce zmieniona tak, aby rolnicy mogli wybierać między płodozmianem a dywersyfikacją upraw. Zniesiono także wymóg uprawy tej samej rośliny w plonie głównym przez maksymalnie 3 lata. Dywersyfikacja upraw – gospodarstwo o powierzchni 10–30 hektarów musi mieć dwie uprawy, a największa może obejmować maksymalnie 75% powierzchni. Tymczasem większe gospodarstwa, tj. powyżej 30 hektarów, są zobowiązane do uprawiania trzech upraw z identycznymi ograniczeniami procentowymi.

– **w normie GAEC 8 (Obszary nieprodukcyjne)** – dotyczącej wyłączenia z produkcji rolnej (niektóre uprawy) do 3-4% ziemi rolnej w celu większej ochrony różnorodności biologicznej – zniesiono ten obowiązek od stycznia 2025 roku, a obowiązkowa norma została zmieniona na dobrowolny ekoschemat. Utrzymano ograniczenia w zakresie przycinania żywopłotów i drzew w okresie lęgowym i wychowu młodych ptaków (od 20 lutego do 31 sierpnia).

– **w normie GAEC 9 (Zakaz przekształcania lub zaorywania TUZ wyznaczonych jak cenne na obszarach NATURA 2000)**. Jeśli rolnik wbrew zakazowi przekształci lub zaora taki trwały użytk zielony, jest zobowiązany do przywrócenia go do stanu poprzedniego (ponownego przekształcenia w TUZ). Termin na przywrócenie trwa maksymalnie do 31 maja roku następującego po roku, w którym złożono wniosek o pomoc, lub do dnia złożenia kolejnego wniosku o tę pomoc. Kluczową propozycją w pakiecie uproszczeń było potencjalne osłabienie lub zniesienie tej normy. W rezultacie uproszczenie poszło w kierunku przyznania państwom członkowskim większej swobody w decydowaniu o jej zakresie. Wywołało to debatę na temat skuteczności i konieczności wprowadzenia zmian w GAEC 9, a wielu twierdzi, że zostały one wprowadzone pochopnie, bez przeprowadzenia odpowiednich ocen skutków dla środowiska i klimatu. Polska zastrzegła sobie możliwość wprowadzania wyjątków od tej normy, w określonych sytuacjach.

Można też zwrócić uwagę, że realizacja normy **GAEC 3 (Zakaz wypalania gruntów rolnych)**, zgodnie z którymi można one względów fitosanitarnych punktowo wypalać rośliny, części roślin lub resztek pożniwnych doświadcza trudności. Statystyka jest alarmująca. W 2024 roku Państwowa Straż Pożarna odnotowała łącznie 21 648 pożarów traw (w tym pożary łąk) i nieużytków rolnych.

Jak to podsumować i co można zrobić?

O rany... zaledwie w niecałe dwa lata UE idzie z kolejną reformą WPR i to dokładnie w przeciwnym kierunku niż został wyznaczony w Strategii „Od pola do stołu”, będącej częścią Europejskiego Zielonego Ładu, który miał nas doprowadzić do neutralności klimatycznej w 2050 r. Pomijając już fakt, że od połowy lat 90-tych XX wieku mamy nieustający festiwal reformowania WPR. Warto też przypomnieć, że w latach 2017-2018 prowadzony był omnibus dla uproszczenia WPR – m.in. na jego podstawie niektóre kraje mogły znieść zazielenianie jako zbyt obciążenie administracyjne. Czy ówczesne uproszczenia rzeczywiście coś uprościły? Jeśli tak, to dlaczego rolnicy nie przestali skarżyć się na biurokrację WPR? Dlaczego nadal postępuje spadek liczby gospodarstw rolnych w UE? Dlaczego nasilają się zjawiska pogodowe niekorzystne dla produkcji rolnej i pogarsza się stan zasobów wodnych oraz różnorodności biologicznej? Dlaczego rolnicy mają poczucie, że nie ich pozycja w łańcuchu wartości nie jest odpowiednio chroniona?

Jak na przykład odnieść się do faktu, że uproszczenia WPR są przedstawiane jako priorytetowe dla poprawy konkurencyjności europejskich rolników, a jednocześnie forsuje się podpisanie umowy Mercosur? Jak rozumieć nacjonalizację WPR, przekazującą coraz większą władzę państwom członkowskim nad jej realizacją? Rządowi, które w ostatnich latach głównie sprzeciwiały się zielonemu reformom w rolnictwie – które osłabiły rozporządzenie o zrównoważonym stosowaniu środków ochrony roślin, ale zgodziły się na dopuszczenie używania glifosatu przez następne 10 lat? Rozporządzenie o odbudowie zasobów przyrodniczych weszło w życie tylko dlatego, że austriacka minister środowiska Leonore Gewisser zignorowała zalecenia własnego rządu w tej sprawie. Już przy planowaniu WPR na lata 2021-2027 pojawił się problem wskazania punktów referencyjnych i odpowiednio do nich wskazników rezultatu poszczególnych środków WPR dla celów ochrony środowiska i klimatu w rolnictwie. Przypomina to budowę domu, bo sprawdzenia nośności terenu.

Jak rolnicy mają być konkurencyjni, gdy projektowane uproszczenia WPR nie umożliwiają systemowego uwolnienia się przez nich od zewnętrznych kosztów (syntetyczne nawozy i pestycydy, leki, itp.) i przedstawienia na produkcję wysokiej jakości żywności? I co rzeczywiście ta konkurencyjność oznacza? Większą skalę, żonglowanie cenami, monopolizację kapitału w rolnictwie, globalizację dostaw, intensyfikowanie wydajności? Jakim kosztem? Czy kosztem takiego zniszczenia zasobów naturalnych w Europie, że stale będzie spadać jej siła produkcyjna? Czy wtedy wydamy jeszcze więcej publicznych pieniędzy na technologie i biotechnologie lecząc skutki a nie przyczyny kryzysów klimatycznych i ekonomicznych?

Co można zrobić? Po pierwsze chwala wszystkim, którzy przebrnęli przez ten tekst, pomimo akrobatycznych konstrukcji kazuistycznych rozwiązań i zmian WPR. Po drugie trzeba podjąć działania, by uświadomić naszym decydom, że polityka rolno-żywnościowa musi obejmować całe społeczeństwo. Głos konsumentów, mieszkańców wsi, rodziców, naukowców, społeczeństwa obywatelskiego jest w niej tak samo ważny jak głos rolników. Poprawniej byłoby powiedzieć niż głos agrokorporacji, producentów chemii rolniczej, przedstawicieli konglomeratu zbożowego-mięsnego przyzwyczajonego do bycia największym beneficjentem środków WPR. Bo czy rzeczywiście interesy rolników są zbieżne z interesami przemysłu rolnego? Niekoniecznie. Po trzecie i ostatnie...co jest ważniejsze, konkurencyjność czy bezpieczeństwo żywnościowe? Odpowiedź na to pytanie jest kluczowe, bo od niej zależy jaką WPR będziemy mieć po 2027 r.

.....
Justyna Zwolińska – prawniczka, wykładowczyni i publicystka specjalizująca się w zagadnieniach związanych z polityką jakości i ochroną środowiska w rolnictwie, polityką żywnościową, Wspólną Polityką Rolną oraz dobrostanem zwierząt gospodarskich. Wieloletnia współpracowniczka organizacji pozarządowych zajmujących się rolnictwem, ochroną środowiska i zwierząt. Od ponad 7 lat koordynatorka ds. rzecznictwa Koalicji Żywa Ziemia. W 2024 r. uznana przez Forbes Polska za jedną z liderów działań na rzecz ochrony klimatu i środowiska.





dr. hab. inż.
Tadeusz
Pomianek

Rozmowa z dr. hab. inż. Tadeuszem Pomiankiem, prof. Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania z siedzibą w Rzeszowie, prezydentem WSiLiZ

Czy sposób, w jaki produkujemy i konsumujemy żywność, rzeczywiście stanowi jedno z większych zagrożeń dla środowiska?

Tak, chociaż w ostatnich latach skoncentrowaliśmy się przede wszystkim na zagrożeniach wynikających ze zmiany klimatu i na walce o zmniejszenie emisji gazów cieplarnianych. Zapominamy, że obok biegną inne bardzo niebezpieczne dla cywilizacji destrukcyjne procesy. Jednym z nich jest właśnie przemysłowy, intensywny system produkcji żywności, a nasza dieta opiera się na żywności przetworzonej i nadmiernej konsumpcji mięsa. O tym, jak bardzo ten trend jest niebezpieczny dla nas i środowiska, świadczą fakty. Na świecie produkuje się rocznie ponad 350 mln ton mięsa, niemal bilion ton mleka i prawie 100 mln ton jaj. Aby wyprodukować taką ilość mięsa i mleka, wykorzystujemy aż 82% powierzchni gruntów rolnych na świecie. Tymczasem mięso dostarcza tylko 37% potrzebnego nam białka i 18% energii. To pokazuje, jak nieefektywnie gospodarujemy ziemią, którą mamy do dyspozycji. Zanieczyszczamy powietrze, zaburzamy gospodarkę wodną, doprowadzamy do skażenia wody i gleby. Przemysłowy system produkcji stanowi też zagrożenie dla lokalnych form ochrony przyrody i klimatu. Tylko 17% emitowanych gazów cieplarnianych powstałych podczas wytwarzania żywności przypada na żywność pochodzenia roślinnego. Zatem aż 83% emitowanych gazów cieplarnianych powstaje podczas produkcji mięsa, mleka i jaj - co stanowi 29% udział w globalnej emisji.

Podsumowując, globalny system żywnościowy powoduje wysoką emisję gazów cieplarnianych, utratę różnorodności biologicznej i ogromne zanieczyszczenie gleby...

To prawda. Nawet do 70% mięsa produkuje się w systemie przemysłowym fermowo-klatkowym. W Polsce przemysłową produkcję prowadzi ponad 2 tys. ferm drobiowych (każda ponad 40 tys. sztuk) oraz blisko 300 ferm trzody chlewnej (każda po ponad 2 tys. sztuk). Aby wyżywić zwierzęta hodowane w tak skoncentrowany sposób, potrzebne są ogromne ilości paszy, pochodzącej zwykle z monokulturowych, wielkoobszarowych upraw. Trudno sobie wyobrazić bardziej toksyczny duet, czyli chów fermowo-klatkowy i uprawy monokulturowe. Gdy na tym samym polu uprawiana jest co roku ta sama roślina, następuje spadek próchnicy w glebie i jej wyjałowienie. Taka gleba jest słabsza, absorbuje mniej wody, rośliny na niej rosnące są ubogie w niektóre mikroelementy ważne dla naszego zdrowia. Miliardy ludzi cierpią z powodu deficytów mikroelementów, np. cynku. Ze względu na postępujące jałowienie gleb również zwierzęta karmione są gorszej jakości produktami rolnymi. Aby uzyskać wyższe plony na tych jałowych glebach, stosuje się bardzo duże ilości nawozów. Rocznie na świecie do gleby trafia około 200 mln ton nawozów sztucznych, które wraz z pestycydami niszczą ją około 30 razy szybciej, niż jest ona

w stanie się zregenerować.

Z tej ogromnej ilości nawozów rośliny mogą zaabsorbować około 55%, pozostałe 45%, czyli prawie 90 mln ton w skali roku, spływa po prostu do zbiorników wodnych i je zanieczyszcza.

Według raportu Global Land Outlook 2 z 2022 roku degradacja gruntów rolnych kosztuje globalnie około 9% rocznego PKB (9,7 bln dolarów), a jeśli obecne trendy się utrzymają, straty gospodarcze mogą osiągnąć 23 biliony dolarów do 2050 roku.

Wspomniał Pan o stosowaniu nawozów sztucznych, ale to nie jedyne środki chemiczne używane powszechnie w rolnictwie, np. pestycydy. Dlaczego?

Rośliny rosnące na coraz bardziej jałowych glebach są mniej odporne na ataki owadów. Walka z nimi, a także z chwastami oznacza, że rolnicy na coraz większą skalę stosują pestycydy. Rocznie zużywa się ok. 4 mln ton przeważnie toksycznych pestycydów, które negatywnie oddziałują na inne rośliny, owady i ptaki. Szczególnie musi niepokoić wymieranie zapylaczy, od których zależy plonowanie 75% upraw. Na przykład w Kalifornii, gdzie na 400 tys. hektarów prowadzi się uprawę migdałowców, aby zapylić kwiaty trzeba sprowadzać pszczoły nawet z Australii. W ciągu jednego sezonu kwitnienia w 2019 roku zginęło, głównie wskutek działania pestycydów, 50 mld pszczoł! Pestycydy są także bardzo toksyczne dla naszego zdrowia. Amerykańscy i brytyjscy naukowcy wiążą z nimi epidemię autyzmu.

Łącznie, nawozy sztuczne, syntetyczne pestycydy, a także antybiotyki, substancje hormonalne używane w hodowli zwierząt mają nie tylko negatywny wpływ na nasze zdrowie, ale też powodują wyjałowienie i skażenie gleby, wód gruntowych i zbiorników wodnych oraz niszczą różnorodność biologiczną. Degradacja gleby wpływa także na wzrost emisji gazów cieplarnianych, przyczyniając się do zmian klimatycznych. Światowa Organizacja ds. Wyżywienia i Rolnictwa (FAO) uznała, że sektor hodowli zwierzęcej jest zdecydowanie największym źródłem zanieczyszczenia oceanów. Zakwasza je i przede wszystkim pogarsza stan fitoplanktonu, a musimy pamiętać, że fitoplankton produkuje 50–70% tlenu w procesie fotosyntezy. Natomiast zooplankton absorbuje CO₂ podczas tworzenia swoich pancerzyków. Razem pochłaniają 37 mld ton CO₂ rocznie. Bez tego klimat by oszalał. Jeżeli nie zaczniemy zmieniać metod produkcji żywności, to za chwilę zabraknie tlenu i po prostu się udusimy.

W niektórych sklepach możemy kupić mięso za kilkanaście złotych. Czy jego produkcja jest faktycznie tak tania?

Ależ skąd. W sklepie płacimy tylko skromną część rzeczywistej ceny, a pozostałą część poprzez podatki, zadłużenie państwa, kiepski stan zdrowia i coraz gorszą jakość życia. W cenie mięsa należy też uwzględnić koszty ukryte, takie jak emisje gazów cieplarnianych, spadek różnorodności biologicznej i zniszczenie środowiska, utratę naszego zdrowia i degradację gleb. Zatem ta cena powinna być dużo wyższa. Dzięki raportom tak uznanych międzynarodowych organizacji

i zespołów naukowców, jak FAO, WWF, IPCC czy Uniwersytet Cambridge, można oszacować ukryte koszty produkcji żywności. Korzystając z tych danych, obliczyłem, że po ich uwzględnieniu cena mięsa z intensywnej produkcji powinna wzrosnąć od 2,6 do 7,3 razy.

To znaczy, że producenci mięsa i przetworów mięsnych nie uwzględniają kosztów związanych z niszczeniem środowiska i naszego zdrowia?

Co więcej, dostają jeszcze dopłaty z budżetu państwa i Unii Europejskiej. Zespół prof. P. Dasgupty z Uniwersytetu Cambridge oszacował, że rocznie subsydia do intensywnych systemów produkcji żywności wynoszą około 6 bln dolarów. Taki stan rzeczy zapewnia wszystkim uczestnikom tego systemu (od producentów paszy systemem monokulturowym po sieci handlowe) zyski godziwe, a międzynarodowym koncernom zaopatrującym w środki produkcji rolnej – bardzo wysokie. Otrzymują mocne wsparcie kredytowe instytucji finansowych, co doprowadziło do monopolizacji tego rynku. Nie mają zatem żadnej motywacji, żeby uwzględnić ukryte koszty, czego logiczną konsekwencją byłaby zmiana systemu produkcji żywności na taki, który konstruktywnie wykorzystuje wiedzę o środowisku naturalnym, a nie bezwzględnie je eksploatuje.

Tymczasem według FAO pełnowartościowa dieta jednej osoby kosztuje 4 dolary na dobę. Zatem wykorzystując te szkodliwe subsydia, można by wyżywić około 50% ludzi na ziemi, i to produktami dobrymi dla zdrowia!

Czy ekologiczna produkcja żywności rzeczywiście mniej obciąża środowisko?

W rolnictwie ekologicznym też następuje emisja gazów cieplarnianych, ale praktycznie nie ma kosztów ukrytych ani konsekwencji używania nawozów sztucznych, pestycydów, antybiotyków, upraw monokulturowych i chowu klatkowego. Jeżeli uwzględnimy wszystkie koszty, również ukryte, to mięso przemysłowe jest 1,4–3,8 razy droższe niż ekologiczne.

Niestety w Polsce tylko 4,5% gruntów rolnych jest przeznaczonych pod produkcję ekologiczną, a na przykład w sąsiednich Czechach 18%. Dlaczego polscy politycy przez lata decydujący o rozwoju rolnictwa nie słuchają organizacji pozarządowych i lekarzy – a zamiast wspierać rolnictwo ekologiczne, lekką ręką wydają każdego roku coraz więcej na rozwój rolnictwa przemysłowego? Zaczniemy wreszcie brać przykład z krajów, które rozwijają rolnictwo ekologiczne. Dajmy też szansę przedsiębiorczym rolnikom na produkcję dobrej żywności z korzyścią finansową i satysfakcją. Wspomóżmy tworzenie, początkowo w dużych miastach, ekologicznych bazarów, gdzie mogliby sprzedawać żywność ekologiczną. Powinna ona trafiać również do szpitali i placówek oświatowych. W ten sposób stworzymy prawdziwy rynek produktów ekologicznych, bo dzisiaj, wart około 1,5 mld zł, jest 60 razy mniejszy niż w Niemczech!

Z jednej strony słaby rozwój rolnictwa ekologicznego, z drugiej wspieranie przemysłowej i intensywnej produkcji rolnej? W Polsce rośnie liczba ferm przemysłowych i coraz

częściej słyszy się o niewyobrażalnych konsekwencjach środowiskowych ich działania. Czy to jeszcze jest rolnictwo?

Absolutnie nie. Profesor Zbigniew Karaczun w rozmowie z „Newsweekiem” stwierdził: „Wielkie fermy to nie rolnictwo, tylko zabijający je przemysł. Przez nie ginie też polska wieś, bo gospodarz, który ma 150 krów na 100 ha ziemi, nie może konkurować z fermą, która hodojuje obok kilka tysięcy na malej przestrzeni. W dodatku ta ferma pobiera z okolicy wodę i podobnie jak fabryki odprowadza do środowiska niebezpieczne substancje, zanieczyszcza gleby, wody podziemne, powietrze i rzeki”. Podobną opinię zamieszczono w „Atlasie Mięsa” z 2022 roku, wydanym przez Fundację Heinricha Bölla (we współpracy z Koalicją Żywa Ziemia). W Polsce produkuje się 5,3 mln ton mięsa, oczywiście nie tylko na fermach, w tym 3 mln ton eksportujemy – chwalimy się, że jesteśmy liderami na rynku. Tymczasem, jeśli mięso to wytwarzamy w systemie – pasza produkowana intensywną metodą monokulturową, najczęściej jest to uprawa roślin genetycznie modyfikowanych plus wysokie zastosowanie chemii rolniczej, następnie importowana zza oceanu, zazwyczaj w postaci poekstrakcyjnej śruty sojowej, podawana w chowie klatkowym, z dużym zużyciem antybiotyków i hormonów – to jego eksport nie ma ekonomicznego sensu.

Z naszych szacunków wynika, że wszystkie koszty, czyli również dotacje, a także ukryte koszty środowiskowe, są 2,5–6,3 razy większe niż wartość eksportu!

To niezwykle toksyczny system i główne źródło ukrytych kosztów, o których mówiłem wcześniej – kosztów środowiskowych, zdrowotnych, społecznych, które ponosimy wszyscy teraz i które będą płacić przyszłe pokolenia. Co więcej, pomiędzy ociepleniem klimatu a uprawami monokulturowymi istnieje sprzężenie zwrotne, które sprzyja suszom i powodziom.

Czy właśnie dlatego rośnie opór społeczeństwa przeciw fermom przemysłowym w Polsce?

Rzeczywiście, choć można by rzec, że mapa Polski jest pokryta protestami przeciwko fermom, wciąż powstają kolejne. Nikt się tymi protestami nie przejmuje, a przecież mieszkańcy obszaru, na którym funkcjonuje ferma, ponoszą bardzo duże koszty. Są narażeni na odory, zanieczyszczenie powietrza, gleby i wody. Stan wód wokół ferm wielkoprzemysłowych jest w wielu miejscach katastrofalny. Ogromne ilości odchodów zwierzęcych zawierających azot całkowity, fosfor całkowity, ogólny węgiel organiczny, jak również inne substancje zanieczyszczające, w tym pozostałości po stosowanych lekach, szczególnie antybiotykach, trafiają do gleb, następnie do wód gruntowych i rzek, powodując ich skażenie. Koszty oczyszczania wód i naprawy środowiska ponosi sektor publiczny.

Na fermach przemysłowych stosuje się ogromne ilości antybiotyków, aby rutynowo zapobiegać chorobom zwierząt utrzymywanych w niskim dobrostanie lub stymulować ich rozwój. Polska zużywa ponad 800 ton antybiotyków rocznie, czyli w przeliczeniu na kilogram mięsa sześć razy więcej niż Francja

i pięć razy więcej niż Czechy. Ich pozostałości w mięsie powodują lekooporność i różne choroby. Naukowcy, m.in. prof. dr hab. G. Węgrzyn z Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego, ostrzegają, że jeśli radykalnie nie zredukujemy stosowania antybiotyków, m.in. w chowie klatkowym (na świecie rocznie 100 tys. ton), to około 2050 r. przestaną być użyteczne w leczeniu ludzi.

Jednym słowem, zdaniem Pana profesora żywność pochodząca z przemysłowej produkcji, a następnie głęboko przetworzona to przepis na katastrofę?

Opublikowany w zeszłym roku raport, przygotowany przez wybitnych naukowców z brytyjskich, australijskich i amerykańskich uniwersytetów medycznych¹, w ramach którego objęto analizą 10 mln pacjentów, stwierdza, że najgorsza jest głęboko przetworzona żywność. Odpowiada ona za całą gamę różnych chorób, w tym psychicznych. Jeśli nie zaniechamy przemysłowej produkcji żywności, w tym intensywnego chowu zwierząt, to gleba przestanie rodzić, a owady zapyłające zginą. Ludzie będą się dusić z powodu braku tlenu. Jeśli nie zmienimy naszej diety, to nie będzie nas stać na skuteczną ochronę zdrowia. W Polsce, wraz z wydatkami prywatnymi w bieżącym roku na ochronę zdrowia wydamy ok. 300 mld zł (wzrost dwukrotny w ciągu czterech lat), podczas gdy na żywność wydajemy ok. 180 mld zł rocznie.

Najkorzystniej byłoby w ciągu 5–10 lat obniżyć konsumpcję mięsa z 75 do 25 kg na osobę na rok, co według Światowej Organizacji Zdrowia stanowi optymalny poziom konsumpcji. W zamian należy zwiększyć konsumpcję białka roślinnego oraz ryb i owoców morza. Wówczas będziemy mogli pożegnać przemysłowy system produkcji i wraz z nim chemiczne środki produkcji. Odrodzi się przyroda i poprawi nasze zdrowie, a przecież jest to najważniejsze! Nie umrzemy z głodu choćby dlatego, że z 1 ha można otrzymać 6–20 razy więcej białka roślinnego niż zwierzęcego. Z tej przyczyny nie wzrośnie istotnie cena mięsa. Poza tym pieniędzy jest dość, tylko są źle lokowane. Wystarczy przypomnieć, że za 6 bln dolarów subsydiów do intensywnych systemów produkcji żywności można wyżywić połowę ludzkości, i to żywnością dobrą dla zdrowia. Nie musimy być niewolnikami systemu, który nam szkodzi. Naukowcy dawno odpowiedzieli na pytanie, jak go zmienić.

Jeśli dobrze życzymy swoim dzieciom i wnukom, to najwyższy czas się opamiętać.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała: Aldona Zysk

.....
dr hab. inż. Tadeusz Pomianek, prof. WSiLiZ - pomysłodawca, twórca, wieloletni Rektor Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie, obecnie Prezydent Uczelni. Autor bloga - ZIELONY BLOG WSiLiZ.

1. Lane M. M., Gamage E., Du S., Ash-tree D. N., McGuinness A. J., Gauci S., Baker P., Lawrence M., Rebholz C. M., Srour B., Touvier M., Jacka F. N., O'Neil A., Segasby T., Marx W. (2024). Ultra-processed food exposure and adverse health outcomes: umbrella review of epidemiological meta-analyses)

GDY POJAWIA SIĘ FERMA PRZEMYSŁOWA



**Małgorzata
Żmudka-
Wyrwał**

Syn pani Anny jest głęboko rozczulony. Jako niedawny absolwent szkoły rolniczej marzy, aby swoją wiedzę przełożyć na praktykę i stać się rolnikiem z prawdziwego zdarzenia. Po miesiącach starań o realizację tego marzenia okazało się jednak, że nic z tego. Na przeszkodzie stanęli mieszkańcy jego wioski.

Zaczynał studia z myślą o przekształceniu małej rodzinnej fermy z obsadą 50 świń na wysokotowarową, zmechanizowaną chlewnię z prawdziwego zdarzenia. Rodzice mu kibicowali, ciesząc się, że tradycja z dziada pradziada wchodzi w nową fazę. Pomysł syna podobał im się, tym bardziej że w gminie, do której należy ich wioska, praktycznie nie ma konkurencji – większość gospodarstw podupadła, dzieci gospodarzy porożędzały się po kraju. Wieś pozostała rolnicza w zasadzie tylko z nazwy, większość mieszkańców to przyjezdne „mieszczuchy”.

Aby przygotować synowi grunt pod dobry start, pani Anna i jej mąż złożyli wniosek o zmianę miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego. Do tej pory na terenie ich nieruchomości możliwe było prowadzenie chowu nieco ponad 50 macior albo 140 tuczników. Plany syna obejmowały natomiast chlewnię, którą polskie prawo kwalifikuje do „przedsięwzięć zawsze znacząco oddziałujących na środowisko”, czyli liczącej 2 tys. tuczników.

Wójt uprzedzał panią Annę, że zmiana planu to rzecz niełatwa, wymaga uzgodnień z innymi organami, a poza tym trzeba umożliwić mieszkańcom wniesienie uwag do projektu. Na pewno znajdzie się ktoś niezadowolony z planów jej rodziny. O dziwo, cała procedura przebiegła sprawnie i pomyślnie dla wnioskodawców. Pani Anna i jej mąż rozpoczęli przygotowania. Wstępnie porozumieili się z firmą skupującą tuczniki. Wzięli kredyt na projekt chlewni i rozpoczęli przygotowanie raportu o oddziaływaniu na środowisko.

I wtedy się dopiero zaczęło. Mieszkańcy wioski nagle się zorientowali, jakie czeka ich sąsiedztwo. Wszyscy przecież wiedzą, że chlewnia to smród nie z tej ziemi. Do tego hałas wentylatorów, laguny z gnojownicą, kursujące ciężarówki z paszą. A oni nie po to wyprowadzali się z miasta, żeby cały rok siedzieć w domu ze szczelnie zamkniętymi oknami. Owszem, wiedzieli, że rodzina pani Anny zawsze hodowała świnie, ale po śmierci jej rodziców zajmowała się tym bardziej na własny użytek niż na sprzedaż. Mąż pani Anny przebąkiwał nawet o zlikwidowaniu małej chlewni i postawieniu w przyszłości na agroturystykę. Tak, jak sąsiedzi.

Strony internetowej urzędu gminy nikt codziennie nie sprawdzał. Może i były tam jakieś ogłoszenia w sprawie zmiany planu przestrzennego, ale kto ma czas na szukanie po tych wszystkich zakładkach?

Poza tym jakie znaczenie mają procedury, skoro wójt zwyczajnie nie dotrzymał swoich obietnic. Niejednokrotnie mówił przecież na róż-

nych spotkaniach z mieszkańcami, że całym sercem sprzyja ekologicznemu kierunkowi, w jakim zmierza gmina, a rozwój zrównoważonej turystyki to jego zdaniem jedyna przyszłość dla wsi.

Pod wpływem protestów wójt zdecydował się na poddanie pod obrady rady gminy kolejnej zmiany planu przestrzennego, tym razem z wykreśleniem możliwości lokalizacji czy rozbudowy jakichkolwiek ferm hodowlanych.

Pani Anna i jej mąż poczuli się oszukani. Przecież zrobili wszystko zgodnie z prawem, które nie wymagało od nich chodzenia po sąsiadach i pytania, co myślą o rozbudowie chlewni. Nie pozwolą, żeby marzenie ich syna legło w gruzach. Nie wykluczają pozwania gminy o odszkodowanie, jeśli tylko zmiana planu wejdzie w życie. Nie rozumieją, dlaczego o tym, jak mają korzystać ze swojej własnej nieruchomości, mają decydować inni.

Czego nie zrobili mieszkańcy? Gdzie rodzina pani Anny popełniła błąd? Czym zawiniły władze gminy?

Przedstawiony kasus to fikcja, niestety mocno osadzona w polskiej rzeczywistości. Pokazuje nie tylko konflikt wartości i kolidujących ze sobą interesów w obrębie nawet tak niewielkiej wspólnoty, jaką jest wieś, ale też przemiany społeczne, za którymi nie nadąża nasze prawo.

Niewątpliwie bowiem fermy przemysłowe są faktem, którego polskie prawo wciąż nie dostrzega. W naszych przepisach takie pojęcie nie funkcjonuje. Prawodawca posługuje się co najwyżej kryteriami pozwalającymi na zaliczenie hodowli do przedsięwzięć mogących znacząco oddziaływać na środowisko, opartymi na dużych jednostkach przeliczeniowych zwierząt, przy czym jedynie obsada ponad 210 DJP (to np. ponad 600 macior lub 1500 tuczników i nieco ponad 50 tys. kur) wymaga urzędowej weryfikacji przedłożonego przez inwestora specjalistycznego dokumentu, którym jest raport oddziaływania na środowisko.

Intensywny chów i hodowla zwierząt dla pozyskania mięsa, mleka, jaj, futra i innych służących ludziom produktów wciąż jest traktowana przez polskiego ustawodawcę po prostu jako rodzaj rolnictwa. Jedynym „wyróżnikiem” jest tutaj zakwalifikowanie takiej intensywniej działalności do kategorii „działów specjalnych produkcji rolnej” zgodnie z ustawą z dnia 26 lipca 1991 r. o podatku dochodowym od osób fizycznych.

Dla mieszkańców wsi – nieważne, czy żyjących tam od wielu pokoleń, czy też przyjezdnych – nie jednak większego znaczenia, ile pieniędzy wpływa do budżetu gminy w związku z hodowlą. Interesuje ich przede wszystkim, czy i jak dalece ta hodowla wpływa na ich życie, rodzinę, biznes, a także coraz częściej – dzięki rozwojowi tego, co nazywamy społeczeństwem obywatelskim – na całą wspólnotę, 1. zob. Rozporządzenie Rady Ministrów z dnia 10 września 2019 r. w sprawie przedsięwzięć mogących znacząco oddziaływać na środowisko (Dz. U. RP, poz. 1839 z późn. zm.).

w której żyją. A że wpłynąć może, i to drastycznie, nikogo dziś już przekonywać nie trzeba.

Truizmem będzie stwierdzenie, że z fermami przemysłowymi wiąże się duże ryzyko dla środowiska, a skoro dla środowiska, to także dla człowieka. Nie żyjemy przecież w próżni, czerpiąc całą energię z kosmosu (a przynajmniej oficjalny nurt nauk medycznych tego nie potwierdza). Do zdrowego życia potrzebne nam świeże powietrze, czysta woda bez patogenów, środków chemicznych i farmaceutyków, urodzajna gleba i bioróżnorodność. Nocne niebo bez smogu świetlnego i cisza, która pozwala na spokojny sen. Dobrze jest też, gdy widok za oknem nie przynębia nas zabudową masakrającą krajobraz.

Fermy przemysłowe mają potencjał zniszczenia tego wszystkiego. Potencjał – bo niekoniecznie pewność, jeśli mieć na uwadze to, co jest na papierze, czyli w licznych ustawach, rozporządzeniach i doku-

mentach będących podstawą najpierw do wydania zezwolenia na wysokotowarową produkcję zwierzęcą, a później do jej prowadzenia.

Nasze prawo możemy oceniać różnie. Być może przez niektórych czytelników zostaną w tym momencie uznana za adwokatkę diabła, ale jeżeli fermy szkodzą i są uciążliwe dla otoczenia, to nie tylko prawo, w sensie jego litery, jest winne. Winni są przede wszystkim ludzie, którzy je niewłaściwie stosują, bo wykładają przepisy, nie biorąc pod uwagę wpływu na otoczenie, bądź ten wpływ bagatelizują, kierując się wartościami li tylko merkantylnymi. Słowem – ludzie, którzy wychodzą z założenia, że ferma hodowlana funkcjonuje w próżni, a zasoby środowiska naturalnego są niezniszczalne i niewyczerpywalne.

Takie podejście sprawia, że używane przez ustawodawcę w przepisach „środowiskowych” pojęcie negatywnego wpływu/oddziaływania, tak nieostre i niejednoznaczne, przestaje być sensownym kryterium oceny ewentualnej szkodliwości inwestycji polegających na intensywniej produkcji zwierzęcej. Skoro ustawodawca tego pojęcia nie definiuje, równie dobrze można przecież rozumieć przez nie spowodowanie nagłej katastrofy ekologicznej na skalę co najmniej powiatową, i to już w momencie rozpoczęcia działalności. W takim ujęciu na przykład ograniczenie lokalnej populacji dzikiego ptactwa nie będzie już stanowiło problemu i świadczyło o znaczącym wpływie na przyrodę. Tylko czy w tej sytuacji zasada „prewencji i przezorności”, wyrażona w art. 6 ustawy Prawo ochrony środowiska, a ma-

jąca swoje źródło w prawie europejskim, nie staje się pustym frazesem?

Zaostrzenie czy doprecyzowanie przepisów moim zdaniem nic tu nie pomoże. Każde pojęcie prawne podlega przecież interpretacji, a życie i tak jest od prawa bogatsze, zostawiając je w tyle. Prawo zbyt szczegółowe, kazuistyczne też nie jest dobrym pomysłem. Budzi pokusę twierdzenia, że co nie jest zabronione, to dozwolone. Wszystkiego nie doregulujemy.

Po drugiej stronie barykady mamy ludzi, dla których nienaruszalność zasobów środowiska naturalnego jest wartością najwyższą, a przemysłowy chów i hodowla zwierząt to zawsze i bez wyjątku przenikliwy odór, nieustanny hałas, skażenie wody, wyjałowienie gleby i degradacja krajobrazu. A także spadek wartości znajdujących się w jej okolicy domów i działek. Do tego dochodzi cierpienie zwierząt i wypuszczanie na rynek żywności pełnej antybiotyków i innych substancji szkodliwych dla zdrowia człowieka.

Rolnicy powiedzą jednak, że jedzenie na naszych talerzach nie pojawia się znikąd. Zarzucają obrońcom środowiska hipokryzję: „Wszystcy chcą jeść polską żywność, ale nikt

jeszcze w pełni rozpoznane, jest obowiązany, kierując się przezornością, podjąć wszelkie możliwe środki zapobiegawcze.

3. Art. 191 ust. 2 Traktatu o funkcjonowaniu Unii Europejskiej, Rzym.1957.03.25.: Polityka Unii w dziedzinie środowiska stawia sobie za cel wysoki poziom ochrony, z uwzględnieniem różnorodności sytuacji w różnych regionach Unii. Opiera się na zasadzie ostrożności oraz na zasadach działania zapobiegawczego, naprawiania szkody w pierwszym rzędzie u źródła i na zasadzie „zanieczyszczający płaci”.

nie życzy sobie, aby była produkowana za ich płotem.” – mówią. Być może, gdyby była produkowana ekologicznie i w mniejszej skali, dałoby się uniknąć wielu konfliktów.

Czy te dwie skrajne postawy można pogodzić? Bez szklanej kuli i kart tarota trudno na to pytanie odpowiedzieć. Ale na pewno nigdy się tego nie dowiemy, jeśli nie zaczniemy z uporem godnym najlepszej sprawy używać przepisów, które są w naszej, obywatelskiej dyspozycji. I nawet jeżeli przyznamy, że polskie prawo wciąż nie spełnia wszystkich wymogów unijnych, to musimy uczciwie stwierdzić, że z wielu już dostępnych narzędzi po prostu nie korzystamy. A bez tego mówienie o prawach człowieka w kontekście lokalizacji i funkcjonowania ferm przemysłowych zasługuje na miano dyskusji akademickiej. I nie zmieni tego powtarzanie, że w myśl art. 74 ust. 2 Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej ochrona środowiska jest przede wszystkim obowiązkiem władz publicznych. Jak życie pokazuje, obowiązek, któremu nie grozi egzekucja, ma wymiar czysto teoretyczny.

Małgorzata Żmudka-Wyrwał

.....
Małgorzata Żmudka-Wyrwał – absolwentka UJ, Wydziału Prawa i Administracji na kierunku prawo. Od 2006 r. do 2018 r. orzekała w Samorządowym Kolegium Odwoławczym w Krakowie, z roczną przerwą na pracę na stanowisku asystenta Sędziego Sądu Najwyższego. Od 2018 r. pracuje w Zespole Prawa Administracyjnego i Gospodarczego Biura Rzecznika Praw Obywatelskich. Z dniem 17 grudnia 2025 r. została naczelniczką Wydziału Ochrony Środowiska.



Art. 6. 1. Kto podejmuje działalność mogącą negatywnie oddziaływać na środowisko, jest obowiązany do zapobiegania temu oddziaływaniu.

2. Kto podejmuje działalność, której negatywne oddziaływanie na środowisko nie jest

WYBIERAJMY ŻYWNOSĆ EKOLOGICZNĄ



**prof. dr hab.
Dominika
Średnicka-
Tober**

Rozmowa z dr hab. Dominiką Średnicką-Tober, prof. SGGW, Katedra Żywności Funkcjonalnej i Ekologicznej, Instytut Nauk o Żywieniu Człowieka

Czy warzywa i owoce ekologiczne mają wyższą wartość odżywczą od uprawianych w sposób konwencjonalny?

Gdy mówimy o wartościach żywności, często koncentrujemy się na tak zwanych składnikach odżywczych. Jeśli chodzi o podstawowe, takie jak białko, tłuszcze, węglowodany, czyli makroskładniki czy nawet witaminy, to ich zawartość w surowcach pochodzących z uprawy ekologicznej i konwencjonalnej jest najczęściej podobna. Inaczej jest w przypadku wtórnych metabolitów roślin, takich jak związki polifenolowe, które w żywności ekologicznej wykrywane są zwykle w istotnie większych ilościach. Większość konsumentów już wie, że związki te należą do antyoksydantów, czyli przeciwutleniaczy, chroniących nasz organizm przed stresem oksydacyjnym spowodowanym działaniem wolnych rodników. Bardzo wiele schorzeń, na które cierpimy, między innymi nowotwory, miażdżyca, choroby serca czy neurodegeneracyjne, ma podłoże związane ze stresem oksydacyjnym, dlatego przeciwutleniacze pomagają ograniczyć ryzyko zapadania na nie. Część konsumentów sięga w tym celu po suplementy, ale nic nie zastąpi zrównoważonej diety, a ekologiczne warzywa i owoce są na pewno lepszym i bogatszym naturalnym źródłem tych ważnych dla zdrowia składników.

Ale jeszcze do niedawna polifenole, a także karetonoidy były uważane za mało istotne?

Od dawna wiedzieliśmy, że warzywa i owoce korzystnie wpływają na zdrowie. Dziś już wiemy, że nie tylko ze względu na bogactwo witamin i błonnika pokarmowego, ale również właśnie dzięki związkom polifenolowym. W czasie, gdy walczymy z prawdziwą plagą nowotworów oraz innych tzw. chronicznych chorób niezakaźnych, w których powstawaniu stres oksydacyjny odgrywa kluczową rolę, ten kierunek badawczy nabrał ogromnej wagi. Podobnie jak znaczenie diety, w tym antyoksydantów, w tworzeniu mikrobiomu jelita – pierwszej bariery odpornościowej naszego organizmu. To, czym mikroflorę żyjemy, okazuje się bardzo ważne. Wielu badaczy uważa, że korzystny wpływ żywności ekologicznej na zdrowie – bogatej w polifenole, a jednocześnie zawierającej mniej niebezpiecznych dla zdrowia pozostałości pestycydów – związany jest właśnie z jej działaniem na mikrobiom jelita.

Pozostałości pestycydów bardzo często wykrywane są w żywności konwencjonalnej. A w żywności wytwarzanej ekologicznie?

Mimo że stosowanie pestycydów syntetycznych obwarowane jest wieloma uregulowaniami, w konwencjonalnie uprawianych warzy-

wach i owocach rzeczywiście często znajdują się ich pozostałości. W rolnictwie ekologicznym stosowanie syntetycznych środków ochrony roślin jest zakazane, co daje znacznie większą gwarancję uzyskania żywności bez tych szkodliwych dodatków. Z badań wynika jednak, że są one znajdowane, co prawda rzadko i na minimalnym poziomie. Jest to spowodowane np. przeniesieniem, czyli przedostaniem się środków ochrony roślin z pola lub sadu konwencjonalnego na teren uprawy ekologicznej. Rolnicy ekologiczni muszą zrobić wszystko, aby zapobiegać takim sytuacjom. Wiele z tych związków chemicznych ma bowiem udowodnione negatywne właściwości. Między innymi na układ nerwowy najmłodszych, zwłaszcza w okresie jego rozwoju, zaburzają także funkcje układu hormonalnego i zwiększają ryzyko rozwoju chorób nowotworowych.

Czy konsumenci rzeczywiście są narażeni na działanie tych substancji chemicznych? Czy są wchłaniane w przewodzie pokarmowym?

Zdecydowanie tak. Wiele badań, w tym prowadzonych z udziałem naszego zespołu, to potwierdza – w moczu konsumentów, których dieta bazuje na surowcach i produktach ekologicznych wykrywa się znacznie mniej i na mniejszym poziomie pozostałości pestycydów oraz ich metabolitów niż w moczu osób spożywających surowce i produkty konwencjonalne. Różnice te są jeszcze większe w przypadku np. diety śródziemnomorskiej, która obfituje w warzywa i owoce. Gdy surowce te pozyskiwane są z konwencjonalnych upraw, ich zwiększone spożycie jeszcze bardziej zwiększa narażenie na pozostałości pestycydów.

Czy to oznacza, że powinniśmy ograniczać spożywanie owoców i warzyw?

Absolutnie nie. Korzyści zdrowotne ze spożycia owoców, a zwłaszcza warzyw są ogromne i naukowcy zgodnie uważają, że powinniśmy zwiększać, a nie ograniczać ich udział w diecie. Ale w przypadku tych właśnie surowców (w których najczęściej wykrywa się pestycydy) jest niezwykle ważne, aby pochodziły z upraw ekologicznych, zwłaszcza jeśli dotyczy to żywienia dzieci i kobiet w ciąży. Rosnąca wiedza na temat zagrożeń dla zdrowia i środowiska związanych ze stosowaniem chemicznych pestycydów powoduje, że w Unii Europejskiej intensywnie poszukujemy rozwiązań alternatywnych dla tych preparatów. Naukowcy pracują nad nowymi skutecznymi środkami ochrony roślin, przyjaznymi dla środowiska i bezpiecznymi dla konsumentów oraz rolników i ich rodzin. Propagowane są również praktyki, które pozwalają na znaczące uniezależnienie produkcji od ochrony chemicznej – wspierające różnorodność biologiczną, w tym tę w glebie. Takie właśnie są praktyki rolnictwa ekologicznego.

Żywność konwencjonalna, a zwłaszcza mięso, oprócz pestycydów zawiera też antybiotyki?

Gdy mówimy o sektorze produkcji ekologicznej trzeba pamiętać, że bardzo ważny jest w niej dobrostan zwierząt. Rolnicy ekologiczni mają obowiązek zapewnienia im między innymi naturalnych, eko-



Fot. Justyna Zwolińska

logicznych pasz (bez GMO) oraz dostępu do wybiegów. Zwierzęta mają lepsze warunki bytowe, większą przestrzeń i możliwość realizacji naturalnych, typowych dla gatunku zachowań. Wszystko to korzystnie wpływa na ich zdrowie. Brak podobnych standardów w konwencjonalnym chowie przemysłowym skutkuje między innymi koniecznością dużo częstszego stosowania antybiotyków. W produkcji ekologicznej są one również dopuszczalne, ale na dużo bardziej restrykcyjnych zasadach. Można stosować je tylko wtedy, gdy to naprawdę konieczne, bo zwierzę jest chore i nie ma innych skutecznych metod leczenia go. Obowiązuje też dwukrotnie dłuższy okres karencji na produkty pochodzące od lezonego zwierzęcia, dzięki czemu konsument jest bardziej chroniony przed pozostałościami antybiotyków. Sama ich obecność w mięsie lub w mleku nie jest jednak jedynym zagrożeniem. Nadmierne stosowanie antybiotyków w chowie przemysłowym zostało globalnie uznane za jeden z najważniejszych czynników wykształcenia się antybiotykoodporności bakterii patogennych. Według oceny Światowej Organizacji Zdrowia w najbliższych dziesięcioleciach ta kwestia stanie się jednym z kluczowych problemów dotyczących zdrowotności naszej populacji – antybiotyki nie będą bowiem w stanie zwalczyć niegroźnych dotąd infekcji. Dlatego w Unii Europejskiej kładzie się ogromny nacisk na ograniczenie używania antybiotyków w chowie zwierząt. Zabronione jest między innymi ich aplikowanie w celach profilaktycznych. Są jednak wciąż stosowane na ogromną skalę, zwłaszcza w chowie przemysłowym. Należy podkreślić, że nadmierne zużycie antybiotyków ma też destrukcyjny wpływ na środowisko, powodując na przykład zanieczyszczenie wód w pobliżu ferm przemysłowych. Jest niebezpieczne dla wielu gatunków dzikich zwierząt. Ekologiczny system produkcji przyczynia się do przeciwdziałania wszystkim tym zagrożeniom.

Czy ekologiczny chów zwierząt ma też wpływ na jakość pozyskiwanych od nich produktów?

Według dostępnych badań ekologiczne mleko krowie zawiera średnio o ok. 50% więcej dobroczynnych kwasów tłuszczowych omega-3 niż konwencjonalne, ma korzystniejszy (niższy) stosunek zawartości kwasów omega-6 do omega-3, więcej prozdrowotnego kwasu rumenowego (CLA-9), żelaza oraz naturalnych przeciwutleniaczy, takich jak karotenoidy oraz naturalne izomery witaminy E. Podobnie korzystny skład kwasów tłuszczowych potwierdzono także

w mięsie ekologicznym. Te cechy przypisuje się zwłaszcza sposobowi żywienia zwierząt w systemie ekologicznym.

Czy te różnice w składzie mleka i mięsa mają znaczenie dla zdrowia konsumentów?

Na pewno składniki, o których mówimy, mają znaczenie dla zdrowia. Prozdrowotny efekt zamiany produktu konwencjonalnego w diecie na ekologiczny może oczywiście zależeć od wielu czynników, w tym między innymi od tego, ile mleka czy mięsa spożywamy. Wiadomo jednak, że kwasy omega-3, zwłaszcza długołańcuchowe, chronią na przykład przed chorobami układu sercowo-naczyniowego, są niezbędne do prawidłowego rozwoju i funkcjonowania układu nerwowego, a także wspomagają układ odpornościowy. Jednocześnie typowa zachodnioeuropejska dieta uznawana jest za zbyt ubogą w te kwasy. Żelazo jest konieczne do prawidłowego rozwoju i funkcjonowania organizmu, biorąc między innymi udział w transporcie tlenu do komórek, a karotenoidy i witamina E to ważne antyoksydanty. Wszystkie te składniki są niezwykle istotne dla każdego z nas, ale zwłaszcza dla prawidłowego wzrostu i rozwoju dzieci. I właśnie w przypadku dzieci korzystny skład ekologicznego mleka krowiego oraz przetworów mlecznych może mieć największe znaczenie, bo mają często bardzo duży udział w ich diecie.

A czy przetworzona żywność ekologiczna również ma wyższą wartość odżywczą?

Rozporządzenie dotyczące produkcji ekologicznej reguluje nie tylko produkcję pierwotną (uprawa, chów, hodowla), ale także przetwórstwo żywności. Ekologiczne wyroby przetworzone powinny w jak największym stopniu zachować wartości surowców wyjściowych, dlatego nie jest dozwolone stosowanie najbardziej inwazyjnych metod obróbki. Co ciekawe, w przetwórstwie konwencjonalnym wykorzystuje się ok. 500 różnych pozostałości do żywności i wiele z nich to substancje syntetyczne, w tym różne barwniki, konserwanty, wzmacniacze smaku, emulgatory. Sporo z nich ma udokumentowane działanie niekorzystne dla organizmu, na przykład syntetyczne barwniki powodują zaburzenia koncentracji i nadpobudliwość u dzieci. Podejrzewa się też, że mogą być przyczyną alergii. W przetwórstwie ekologicznym dopuszcza się stosowanie około 50 dodatków, prawie wyłącznie pochodzenia naturalnego. Zmniejsza

to ekspozycję konsumenta na wiele niekorzystnych związków chemicznych. Chciałabym jednocześnie wszystkich uspokoić, że mimo braku stosowania syntetycznych konserwantów, ekologiczne przetwory są bezpieczne dzięki skutecznym metodom utrwalania żywności, takim jak pasteryzacja, suszenie, liofilizacja, mrożenie, marynowanie, fermentacja i wędzenie. Ekologiczni przetwórcy robią bardzo dużo różnorodnych kiszonek, które powinniśmy spożywać w jak największych ilościach, bo bardzo korzystnie wpływają na mikrobiom naszego układu pokarmowego.

A konsumenci wolą naturalną żywność czy wysoko przetworzoną, z syntetycznymi aromatami i wzmacniaczami smaku?

Robiliśmy ze studentami ćwiczenia dotyczące oceny organoleptycznej różnych produktów ekologicznych i nieekologicznych. Co ciekawe, studenci często preferowali znane im, dominujące na rynku produkty konwencjonalne, np. pewne jogurty owocowe. Zнали i rozpoznawali konkretne aromaty stosowane w przemysłowej produkcji. Często powrót do naturalnego smaku jest dość trudny, szczególnie dla dzieci. Dlatego jest tak ważne, żeby od początku, od najmłodszych lat kształtować u nich odpowiednie preferencje, oferując produkty niskoprotworzone, z naturalnych składników. I tu znowu wracamy do tego, jak ważne jest oferowanie właśnie takich produktów w przedszkolach i szkołach.

Tylko czy stać nas na takie zmiany? Żywność ekologiczna jest wciąż znacznie droższa niż konwencjonalna.

Na pewno trzeba się liczyć z pewnymi wyzwaniami, ale akurat cena nie musi być przeszkodą. Na przykład w Kopenhadze władze miasta zdecydowały, że w sektorze zbiorowego żywienia mają być oferowane wyłącznie produkty ekologiczne bez zwiększenia nakładów finansowych. Obecnie doszli do poziomu 90%. Aby zrealizować plan, mieszcząc się jednocześnie w wyznaczonej stawce, ograniczono w menu drogę mięso na rzecz surowców i produktów roślinnych. Udało się też zmniejszyć koszty dzięki zdecydowanemu ograniczeniu marnotrawstwa żywności. Do realizacji tego projektu przeszkolono zespoły placówek, w tym kucharzy, aby wiedzieli, jak efektywnie wykorzystywać surowce i produkty w kuchni, nie marnować ich i jak gotować posiłki – w tym roślinne – aby były smaczne i atrakcyjne. W efekcie impuls, jakim było wprowadzenie żywności ekologicznej, pociągnął za sobą inne ważne zmiany korzystne dla zdrowia i środowiska. Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby odtworzyć podobny scenariusz w Polsce, zwłaszcza że rośnie liczba osób, które świadomie wybierają żywność ekologiczną i apelują, aby trafiła również do placówek oświatowych.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała: Aldona Żyśk



Ewa Sufin-
Jacquemart

100% ŻYWNOŚCI EKOLOGICZNEJ W SZKOLNYCH STOŁÓWKACH

Mouans-Sartoux to małe miasteczko położone we francuskim departamencie Alpy Nadmorskie, liczące mniej niż dziesięć tysięcy mieszkańców. Już w 2012 r. tamtejszy samorząd osiągnął niezwykle ambitny cel – wszystkie posiłki w stołówkach szkolnych są przygotowywane wyłącznie z certyfikowanych produktów ekologicznych.

Co najważniejsze, odbyło się to bez podniesienia cen tych posiłków.

Wprowadzenie produktów ekologicznych w Mouans-Sartoux odbywało się stopniowo. Motywacją pojawiła się wraz z kryzysem tzw. choroby szalonych krów (BSE). W związku z tym, w 1999 r. zdecydowano się na zakup wołowiny ekologicznej, tym samym wprowadzając do szkolnego menu pierwsze 4% produktów bio. Następnie

z roku na rok ten wskaźnik rósł: 9,6% w 2008 r., 23% w 2009 r., 50% w 2010 r., 73,6% w styczniu 2011 r. Aż wreszcie 1 stycznia 2012 r. osiągnięto wymarzone 100% żywności ekologicznej. Dotyczy to ponad 1000 posiłków dziennie. Wszystko, co jedzą uczniowie jest ekologiczne – warzywa, owoce, nabiał, mięso i inne produkty – wyprodukowane bez stosowania syntetycznych pestycydów, nawozów sztucznych i GMO. A średnia cena posiłku wynosiła w 2023 r. 3,60 euro – średnie miejsce w przedziale cen posiłków we francuskich stołówkach szkolnych.

Udało się to przede wszystkim dzięki własnej produkcji warzyw i owoców. W zakupionym przez samorząd gospodarstwie z 6 ha ziemi uprawnej (w tym 3000 m² w ośmiu nowych szklarniach), zatrudniono na pełny etat trzech rolników ogrodników, w tym uprzedniego właściciela gospodarstwa,

który nadal zarządza produkcją. W szczycie sezonu pomagają im pracownicy zespołu terenów zielonych miasteczka Mouans-Sartoux.

Gospodarstwo stosuje zasady agroekologii, a od 2010 r. jest w całości certyfikowane jako producent rolnictwa ekologicznego. Uprawia się tam m.in. marchew, kapustę, pomidory, cukinię, cebulę, zioła – łącznie około 50 gatunków warzyw i ziół, a także owoce, a nawet drzewa oliwne, aby produkować własną oliwę (około 100 litrów rocznie). Sałata jest ścinana poprzedniego popołudnia na południowy lunch we wszystkich szkołach. Dzieci jedzą więc wyłącznie świeże, lokalne i sezonowe warzywa i owoce – nie ma w lutym pomidorów z ogrzewanych szklarni. Gospodarstwo produkuje ponad 25 ton roślin rocznie i zaspokaja 85% zapotrzebowania na warzywa i owoce trzech stołówek w trzech szkołach.

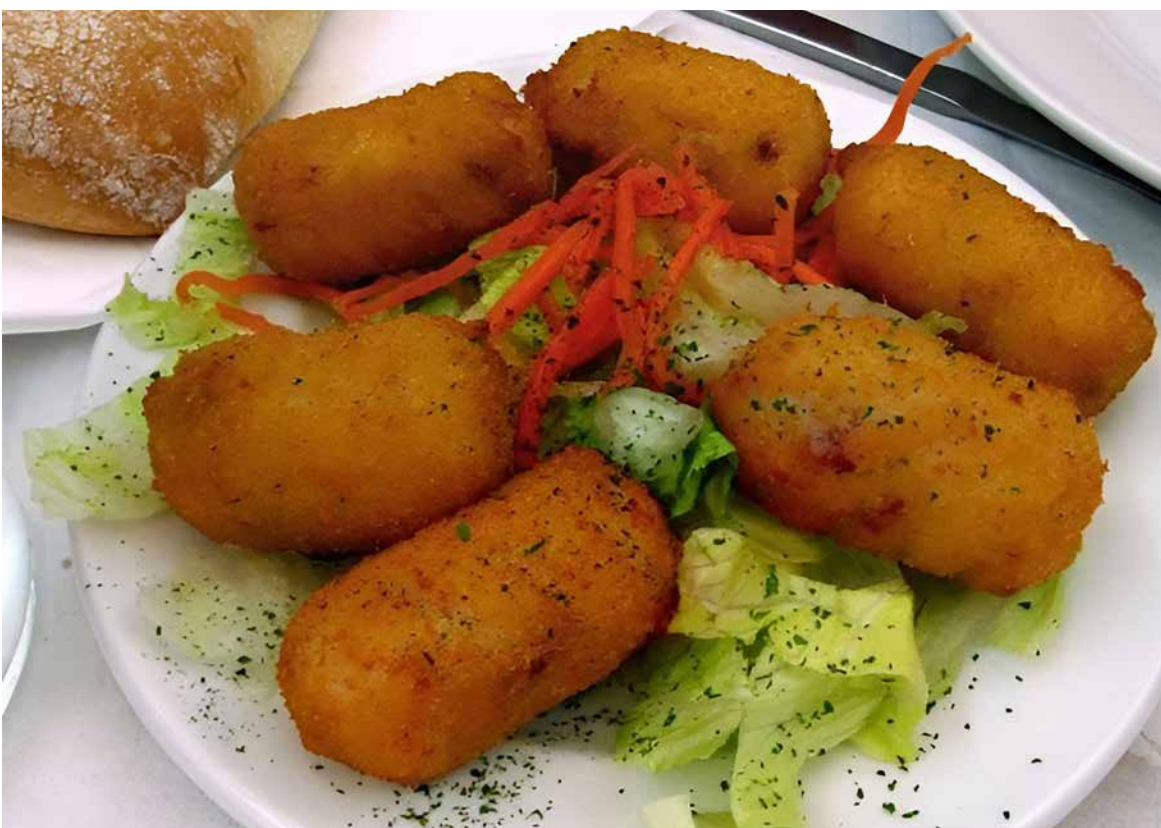
Mouans-Sartoux było miastem pio-

Przykład menu ze szkoły w Mouans-Sartoux z 21 marca 2025 r.

- tabouleh z kaszy bulgur z natką pietruszki
- dal z czerwonej soczewicy
- ryż i warzywa sezonowe
- ser do wyboru
- owoc sezonowy



Zdjęcia potraw ze strony szkół w Mouans-Sartoux: październikowa pizza z sałatką oraz grudniowe krokiety z brukwią.



nierskim, które nie znalazłszy wystarczającej oferty lokalnych warzyw i owoców ekologicznych, postanowiło je produkować. Od tamtej pory w jego ślady poszło 60 miast, dziś połączonych we wspierającą się i wymieniającą doświadczenia sieć. Gilles Pérole, wicemercer Mouans-Sartoux, odpowiedzialny od wielu lat za jego politykę żywnościową, jest dziś jednocześnie liderem europejskiej sieci URBACT Biostołówki. URBACT to Europejski Program Współpracy Terytorialnej dla Zrównoważonego Rozwoju Obszarów Miejskich.

Drugą tajemnicą sukcesu samorządu miasta jest radykalna walka z marnotrawstwem żywności, które udało się zredukować o 80%. Przede wszystkim dzieciom proponuje się znacznie mniejsze porcje, a następnie dostają dokładki tego, co im najbardziej smakowało, jeżeli są jeszcze głodne. Ponadto, co drugi posiłek podawany w stołówce szkolnej w Mouans-Sartoux jest wegetariański, co zmniejsza oddziaływanie na klimat, a jednocześnie cenę posiłku średnio o połowę w stosunku do przygotowanego na bazie mięsa. Produkty mleczne (sery, jogurty i twarogi) oraz wszystkie świeże owoce serwowane podczas lunchu są dofinansowane w ramach programu Unii Europejskiej. Ponadto, w zamówieniach publicznych stosuje się klauzule preferencyjne dla towarów wyprodukowanych lokalnie, w odległości nieprzekraczającej 200–250 km.

Posiłki są przygotowywane we własnych kuchniach przez personel zatrudniony na stałe. Obowiązują standardy żywienia domowego. Nie stosuje się żadnych dodatków używanych w przemysłowej produkcji żywności ani przetworzonych półproduktów np. sosów). Wymaga to stałych szkoleń dla personelu. Wprowadzenie formuły „mniej mięsa, za to lepsze”, zwiększenie udziału produktów pełnoziarnistych i roślin strączkowych oraz masowe wprowadzanie warzyw do jadłospisu, liczne zajęcia sportowe i relaksacyjne dla dzieci oraz rozsiane po mieście sprzęty do zabaw i ćwiczeń fizycznych to elementy polityki odżywiania

nia i troski o zdrowie najmłodszego pokolenia, zgodnej z przyjętą przez miasto Agendą 21. Stosowane przez samorząd zasady dla stołówek szkolnych: 100% bio, 100% lokalne, 100% kuchni domowej ze świeżych produktów oddziałują przede wszystkim na żywienie dzieci w szkołach, ale wraz z nim postępują także zmiany świadomości w całej społeczności lokalnej.

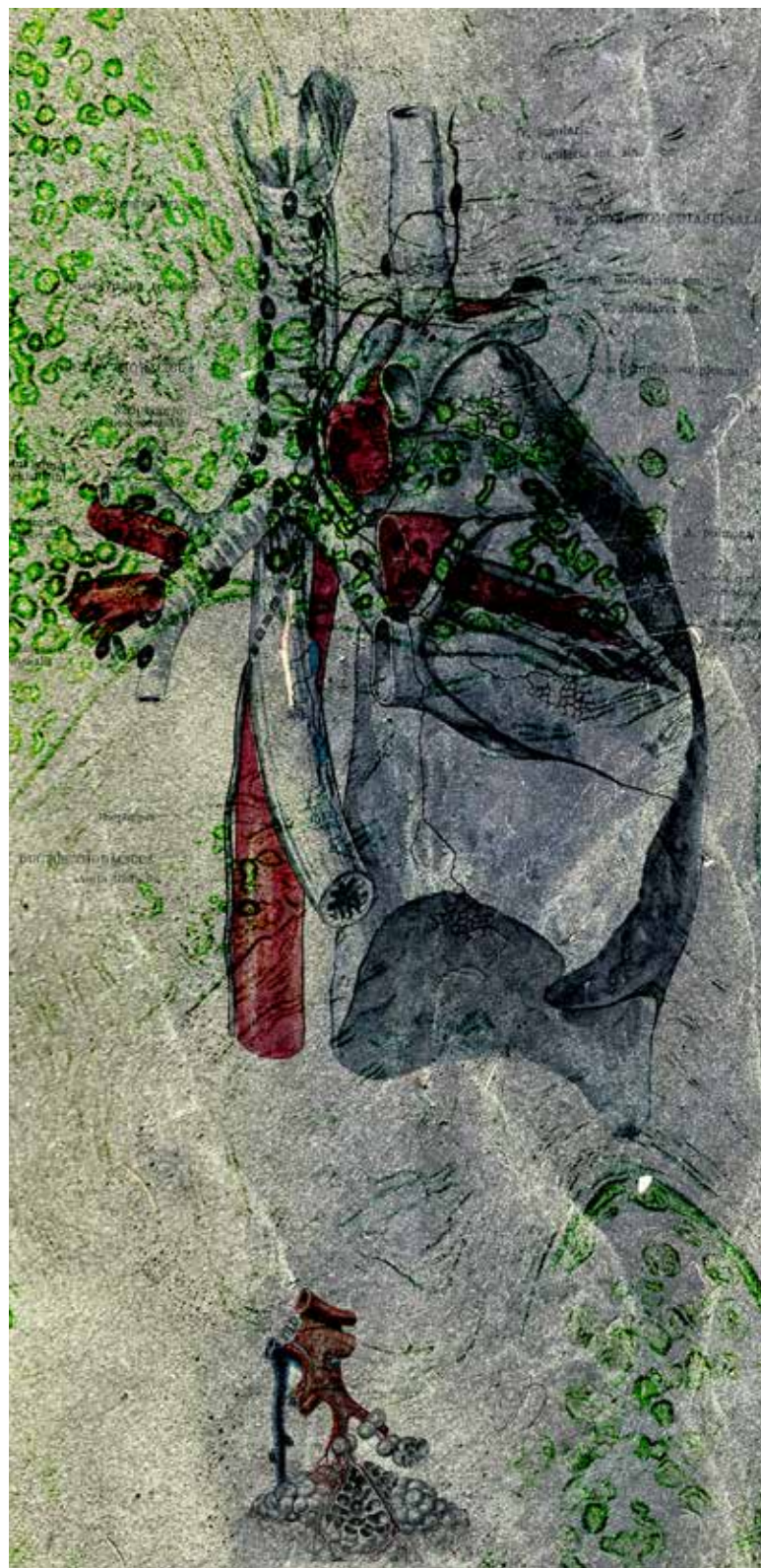
Częścią polityki żywnościowej Mouans-Sartoux jest obserwatorium zrównoważonego żywienia, które regularnie śledzi jej efekty, w tym zachowania mieszkańców. Z badania zrealizowanego w 2019 r., czyli po siedmiu latach wdrażania Agendy 21, wynika m.in., że polityka żywnościowa miasta zainspirowała 87% ankietowanych rodziców do zmiany praktyk zakupowych – 13% twierdzi, że odżywia się wyłącznie ekologicznie, 61% rodzin je produkty ekologiczne „często” lub codziennie, 27% robi zakupy bezpośrednio u producenta raz w tygodniu, a 12% na targowisku. Kluczowe jest to, że aż 97% rodziców jest zadowolonych z posiłków szkolnych, a jedynie 8% dzieci uważa, że je za dużo warzyw. Może te 8% to wielbiciele chipsów i batoników? O te znacznie łatwiej, w automatach z wysoko przetworzoną żywnością, wstawianych do polskich szkół.

Ewa Sufin-Jacquemart jest członkinią grupy stercniczej Koalicji Żywa Ziemia, prezeską zarządu Fundacji Strefa Zieleni i działaczką partii Zieloni. Koordynuje „Centrum Zielone” Kongresu Kobiet i jest jedną z czterech wiceprezesek zarządzających Stowarzyszeniem Kongres Kobiet.

Pełne menu szkół w Mouans-Sartoux można znaleźć na stronie internetowej: <https://www.mouans-sartoux.net/images/Menus>

Aleksandra
Mielczarek

CO CZUJECIE? SZTUKA ZINTEGROWANA.



Sztuka zawsze pełniła funkcję pomostu między tym, co widzialne, a tym, co ukryte. Jej siła nie polega jedynie na estetyce, ale też na zdolności do ukazywania głębszych prawd, które często wymykają się naszej codziennej percepcji. Wobec dzisiejszych wyzwań społecznych, ekologicznych i zdrowotnych sztuka staje się potężnym narzędziem, które pozwala na uchwycenie i zrozumienie trudnych, wielowarstwowych zagadnień. Ma moc wywołania potrzeby zmiany, dostrzeżenia często ignorowanych wyzwań. W tym duchu powstała wystawa „Toxic Chic”. Pierwsza w Polsce taka wystawa o syntetycznych pestycydach.

Temat syntetycznych pestycydów nie jest nowy, ale wciąż nie doczekał się odpowiedniej uwagi polskiego społeczeństwa. Choć ich powszechne stosowanie w rolnictwie ma negatywny wpływ na zdrowie ludzi, zwierząt, całego śro-

dowiska. W związku z tym wystawa stała się naturalnym przedłużeniem działań rzeczniczych, które Koalicja Żywa Ziemia prowadzi, syntetyczne pestycydy zostały wycofane z powszechnego stosowania w rolnictwie. Te działania, choć niezwykle ważne w kontekście polityki i edukacji, często trafiają do grona specjalistów, którzy już zdają sobie sprawę z problemu. Wystawa AgroPermaLab, dzięki metodom artystycznym, pozwala dotrzeć do ludzi spoza bańki tematycznej, skłaniając ich do refleksji nad tym, co dzieje się na co dzień, tuż obok nich. W ten sposób chcemy poszerzać krąg świadomości i wrażliwości na kwestie odnoszące się do schematyzowania produkcji rolnej, które dotyczą każdej osoby żyjącej we współczesnym społeczeństwie.

Sztuka jako narzędzie transformacji ma moc wywoływania zmian w postrzeganiu świata, wzmacniając wrażliwość odbiorców na kwestie społeczne, ekologiczne lub zdrowotne. Dziś sztuka ma szansę nie tylko na wyrażenie emocji, ale także na skuteczne przekazywanie ważnych, trudnych i często igno-

rowanych treści. Wystawa „Toxic Chic” to projekt, który nie tylko porusza temat toksycznych substancji w naszym życiu, ale również stawia pytanie o sposób, w jaki możemy zmieniać naszą świadomość, a co za tym idzie, wpływać na zmiany systemowe. Zmiany, które powinny prowadzić do coraz większego ograniczania substancji chemicznych w produkcji żywności.

Pomysł wystawy pochodzi z głębokiego zrozumienia, że stosowanie chemicznych pestycydów to zagadnienie złożone, i to nie tylko w sensie chemicznych, ale także wielowarstwowych skutków dla zdrowia, środowiska i społeczeństwa. Dzięki połączeniu form wizualnych, dźwiękowych oraz interaktywnych nasza wystawa staje się doświadczeniem, które angażuje więcej niż jedynie wzrok czy umysł. Zmysły uczestników są wciągane w narrację o szkodliwości pestycydów syntetycznych, zapraszając do refleksji nie tylko intelektualnej, ale także emocjonalnej. Taki sposób prezentacji sprawia, że temat staje się bardziej realny, rozumiały i bliski odbiorcom wy-

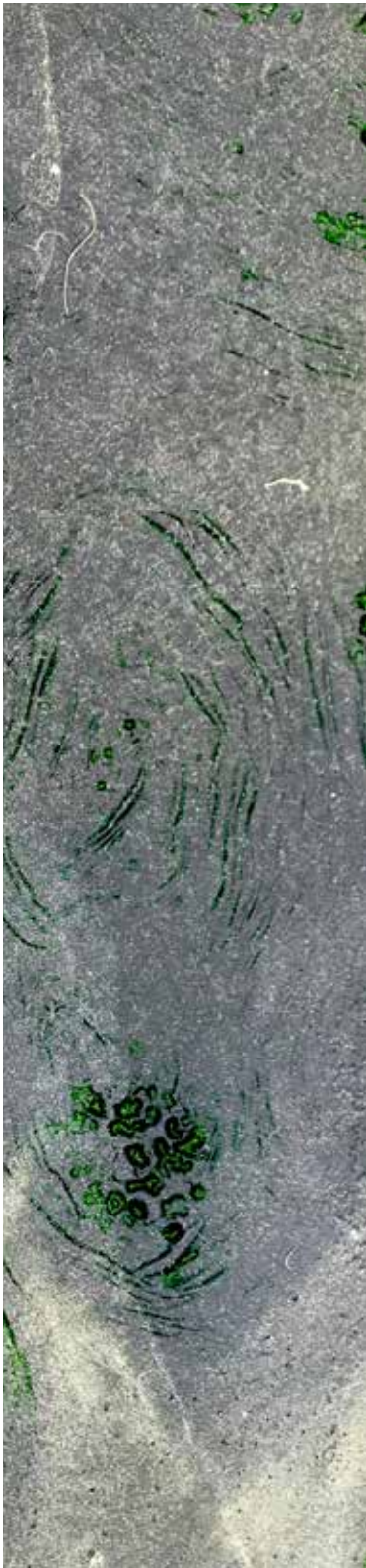
stawy. Dzięki wykorzystaniu artystycznych środków wyrazu możemy zatem dotrzeć nie tylko do tych, którzy są już świadomi problemu, ale także do tych, którzy być może nigdy nie zastanawiali się nad tym, jak pestycydy wpływają na ich zdrowie i otoczenie.

Sztuka ma również zdolność do obnażania trudnych aspektów naszej rzeczywistości. Właśnie przez wykorzystanie formy artystycznej i jej wielowymiarowości wystawa może być dla widza przeżyciem wielowarstwowym. Tkaniny, z których zostały wykonane prace, to symboliczna interpretacja przenikania pestycydów w głąb naszego ciała i świata. Widz, wchodząc w przestrzeń wystawy, doświadczy nie tylko wizualnego, ale i fizycznego kontaktu z tematem, co pozwala na jeszcze głębsze odczucie, jak te niewidoczne substancje zmieniają nasze życie. Tekstury tkanin, ich ruch na wietrze, ich niezależność i złożoność są odzwierciedleniem skomplikowanej natury problemu. W połączeniu z innymi elementami wystawy – plakatami, projektem świetlnym i dźwięko-

wym – otrzymujemy wzmocniony przekaz. Ale sztuka nie jest jedynie formą wyrazu, to również narzędzie edukacji i komunikacji. W dobie nowoczesnych technologii wystawa została przeniesiona również do wymiaru wirtualnego. Na każdym z plakatów znajduje się kod QR, który prowadzi do galerii online, gdzie zwiedzający mogą się zapoznać z dodatkowymi informacjami na temat chemicznych pestycydów oraz skutków ich obecności w naszej codzienności, a także działań, które pomagają w ich ograniczaniu. W galerii internetowej znajdują się zawieszki informacji, które uzupełniają doświadczenie płynące z samej wystawy, a także zapraszają do szukania rozwiązań, jak skutecznie zmniejszać zależność rolnictwa od toksycznych substancji.

Wystawa, w której artystyczne środki wyrazu spotykają się z naukowym podejściem do problemu, staje się mostem pomiędzy różnymi środowiskami, od artystów przez naukowców aż po osoby zaangażowane w działania rzecznicze. Jest to także zaproszenie do

WYSTAWA „TOXIC CHIC”



AGNIESZKA ŻERDECKA aka Ag Żer
[magic.realizm.agzer@gmail.com]
.....

zmiany, która może zaczynać się od namysłu, a kończyć na działaniach praktycznych, które doprowadzą do systemowych reform uwalniających od ryzyka zanieczyszczenia chemicznymi środkami ochrony roślin. Współpraca z sektorem prywatnym, organizacjami pozarządowymi i instytucjami naukowymi daje szansę na realne zmiany, które mają potencjał poprawy jakości życia ludzi oraz ochrony naszego wspólnego środowiska.

Wystawa „Toxic Chic” to zatem coś więcej niż tylko przypadkowy zbiór obiektów, to przestrzeń, która angażuje zmysły, otwiera głowy na trudny temat i zaprasza do działania. To zaproszenie do zmiany w sposobie myślenia o tym, co spożywamy, co nosimy, w czym żyjemy. To apel o świadome wybory, które mają wpływ na przyszłość naszą i przyszłych pokoleń. Zachęcamy do wsparcia inicjatyw, które nie tylko rozwijają naszą wrażliwość, ale również przyczyniają się do pozytywnych zmian społecznych.

.....
Aleksandra Mielczarek: sztuka zaangażowana, to przestrzeń, w której działam jako kuratorka, badaczka nowych mediów oraz artystka. Wierzę, że współczesne wyzwania, od kryzysu klimatycznego po kwestie społeczne, wymagają nowych form komunikacji i zaangażowania odbiorców na głębszym poziomie. Tradycyjne metody rzecznictwa często trafiają do wąskiego grona specjalistów i aktywistów, podczas gdy szeroka publiczność powinna być włączona w te rozmowy. Wykorzystanie nowych mediów, instalacji immersyjnych, sztuki cyfrowej i performansu pozwala dotrzeć do osób, które nie śledzą raportów naukowych czy debat eksperckich, ale mogą być poruszone doświadczeniem artystycznym. Wierzę, że działania artystyczne (artystycznego aktywizmu) powinny być integralną częścią strategii zmian systemowych.

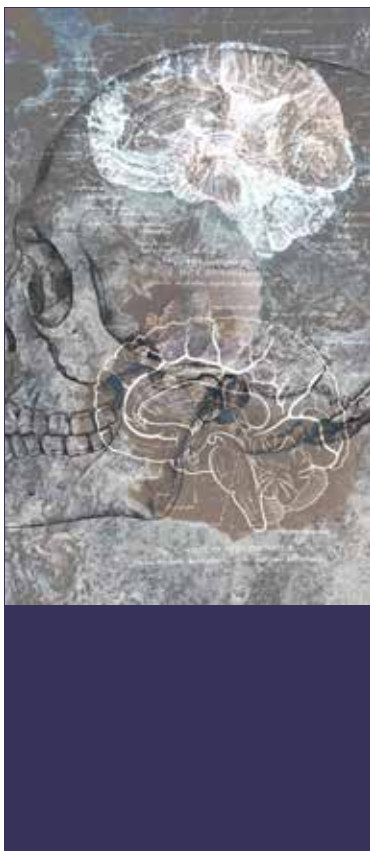
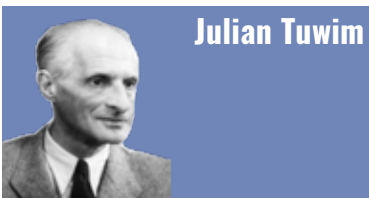




Fig. 4. ENCEPHALON II.
(sectio sagittalis, aspectus medialis, l. dext.)



Fig. 5. SULCI ET GYRI CEREBRI II.
(facies medialis, hemispherii, sectio sagittalis)



Fotografia: Władysław Miernicki
(Narodowe Archiwum Cyfrowe, domena publiczna)

DO PROSTEGO CZŁOWIEKA (1929)

Gdy znów do murów klajstrem świeżym
Przylepiać zaczną obwieszczenia,
Gdy "do ludności", "do żołnierzy"
Na alarm czarny druk uderzy
I byle drab, i byle szczeniak
W odwieczne kłamstwo ich uwierzy,
Że trzeba iść i z armat walić,
Mordować, grabić, truć i palić;
Gdy zaczną na tysięczną modłę
Ojczyznę szarpać deklinacją
I łudzić kolorowym godłem,
I judzić "historyczną racją",
O piędzi, chwale i rubieży,
O ojcach, dziadach i sztandarach,
O bohaterach i ofiarach;
Gdy wyjdzie biskup, pastor, rabin
Pobłogosławić twój karabin,
Bo mu sam Pan Bóg szepnął z nieba,
Że za ojczyznę - bić się trzeba;
Kiedy rozścierwi się, rozchami
Wrzask liter pierwszych stron
dzienników,
A stado dzikich bab - kwiatami
Obrzucać zacznie "żołnierzyków". -
- O, przyjacielu nieuczony,
Mój bliźni z tej czy innej ziemi!
Wiedz, że na twogę biją w dzwony
Króle z panami brzuchatemi;
Wiedz, że to bujda, granda zwykła,
Gdy ci wołają: "Broń na ramię!",
Że im gdzieś nafta z ziemi sikła
I obrodziła dolarami;
Że coś im w bankach nie sztymuje,
Że gdzieś zwęszyli kasy pełne
Lub upatrzyły tłuste szuje
Cło jakieś grubsze na bawełnę.
Rznij karabinem w bruk ulicy!
Twoja jest krew, a ich jest nafta!
I od stolicy do stolicy
Zawołaj broniąc swej krwawicy:
"Bujać - to my, panowie szlachta!"



Pocztówka: Warszawa. Nakł. G. Płatek, [przed 1906] ([miejsce nieznane : drukarz nieznany]). Domena publiczna. Źródło: polona.pl

ilustracja: Ola Wasilewska

pomysł i tekst: Justyna Zwolińska

Ja produkuję
żywność
dla pieniędzy

Ja produkuję
żywność
dla ludzi



80% środków WPR przeznacza się na wsparcie takiej produkcji rolnej.

W latach 2005–2020 w UE zniknęło około 37% gospodarstw rolnych (spadek z 14,4 mln do 9,1 mln). Większość z nich to małe gospodarstwa rodzinne, a około 87% to gospodarstwa do 5 ha.